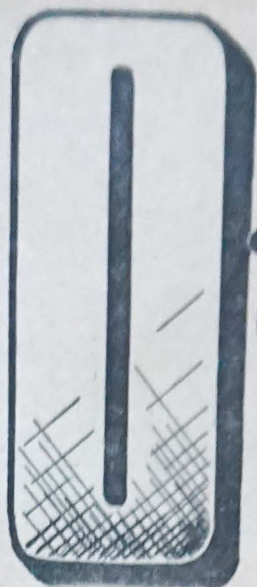
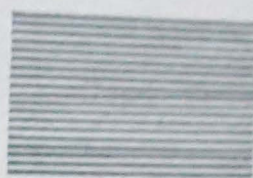


*Alia Alana
Dajm.*



Chotnicka



PISMO PSK

Rok II

Kwiecień - Maj 1944

Nr 7-8



PALESTYNA — EGIPT

„Ochotniczka“ ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: Inspektorat Główny P.S.K. W A.P.W.
Redakcja: Komitet Redakcyjny
Redaktorka Naczelna dr Herminia Naglerowa

Drukarnia Gesher Press, Jerusalem

„Ochotniczkę“ nabywać można w Inspektoracie Gł. P.S.K.,
w oddziałach P.S.K., w kantynach oraz świetlicach

O POLSKIM ŻOŁNIERZU

Wichurą niesiony przebiegłeś świat,
od tyłu, od tyłu bolesnych lat
w przedziwnym z wolnością przymierzu,
tysiące męczeńskich przebyłeś dróg,
nie wiedząc kto brat ci, nie znając, kto — wróg,
żołnierzu, polski żołnierzu.
Pod świstem proporców, pod błyskiem pik
ulańsko — strzelecki ulatał krzyk:
„Za Polskę! do szabell do bronil...“
I zastęp rycerski wyrastał jak łan,
I znowu krwawiła pierś polska od ran,
i mogił przybyło na bloni.
Głęboko pod ziemią zarzewiem się tli
skarb drogi przelanej bezcennej twej krwi,
na swoim i obcym pobrażu,

lecz przyszła godzina i spełnił się czar
i buchnął płomieniem tej krwi wolnej zar,
żołnierzu, polski żołnierzu.
Słyszycie?... to huczy nad światem sąd,
niewola opada z ludzkości jak trąd,
pękają łańcuchów ogniewa,
przy gromów pomruku, wśród krzyku surm,
ostatni husarski gotuje się szturm
na skrzydłach do biegu się rzywa.
Nadchodzi godzina, już widać cud
— rozcina wiekowe pieczęcie u wrót
Archanioł w ognistym pancierzu,
a za nim tuż wali zwycięski twój sztyk,
pod świstem chorągwi, pod błyskiem pik,
żołnierzu, polski żołnierzu.
Kazimiera Illakowiczówna

Lwie serca

W piątym roku wojny żołnierze pobitego i sponiewieranego narodu, pozbierani z wszystkich tułających dróg, wydarci więzieniom, łagrom i zsyłkom — zachowali „lwie serca“ w boju. Nie wolno przejść nad tym do porządku ani obcym, ani nam samym. Bo żołnierz polski bije się świadomie ciągle o tę samą sprawę, za nic sobie mając koniunktury polityczne, targi, zjadliwość i zapomnienie. Nawet w chwilach największej depresji, tym tylko trapił się nasz żołnierz: — kiedy wreszcie będzie się bił, kiedy to nastąpi?

Zdobycie Monte Cassino, zatknięcie flagi polskiej na gruzach klasztoru, który przez zwyż pół roku był niezdobytą twierdzą niemiecką — wprowadza nas znowu sławnie w dzieje tej wojny. Na czoło sprawy polskiej wysunęły się więc czyny wojenne, a krew żołnierzy „Karpackiej“ i „Kresowej“ rozstrzyga lepiej niż wszelkie argumenty o niepodległości i całości Polski. Chwała bojowa jest bowiem argumentem wieczystym.

Nie osiagając niczego łatwo i za darmo, kochamy tym mocniej to, co opłacamy tak drogo. Na skalistych zboczach italskich gór padli nasi bracia spod Wilna, Lwowa, Białegostoku, szli na bagnety kresowi ludzie, aby już nikt nie wątpił, że są polskimi żołnierzami i że ich rodzinna ziemia jest polska. Oczy, zachodzące bielmem śmierci, widziały na pewno więcej niż kiedykolwiek wymarzyła tęsknota żywych. Widziały dalej, poza kres tej wojny, pełnej okrucieństw i zachłanności. Młode życie rozprysło z nagłą, albo porażone ciosem, przechodziło w tę kojącą świadomość zwycięstwa dobra i sprawiedliwości na ziemi. Ojczyzna, małe skrawki globu, jarzyła się światłem i kwitła barwami, wolna i szczęśliwa po wiek wieków.

Zmarłym nikt już nie odbierze ich wiekuiestej wiedzy. Żywi natomiast, upojeni zwycięstwem, sławę swoją oddają sprawie. Wierzą bowiem, że boje na Monte Cassino staną się punktem zwrotnym w tej wojnie o wolność narodów i państw rozpoczętej. Że właśnie tak trzeba było: przypomnieć te cele. Przypomnieć je chlubą wojenną polskiego żołnierza, który przebijając sobie drogę z każdego miejsca boju

do Polski. Pochwały i uznanie obcych pokrzepiają wprawdzie serca żołnierskie, ale słuszną nagrodą jest dopiero wolne obywatelstwo we własnej Ojczyźnie, jest dom spokojny za bezpiecznymi, nieuszczuplonymi granicami.

Tak myślą żołnierze, zwycięzcy z Monte Cassino, pełni ufności, że nie pójdzie na marne ich trud i zapal, ich dzielność i odwaga. Daleki jeszcze jest Kraj, za górami, za morzami, za rzekami. Ale, jak to pięknie powiedział Dowódca w rozkazie przed bitwą: „...będą z nami myśli i serca całego Narodu“. To znaczy, że miliony ludzi trwoży się, ręce spleta, modli się, błogosławi. Ze nigdy nie jesteś sam i opuszczony ani na ziemi, ani w niebiosach. Bo i to jeszcze powiedział Dowódca: „Podtrzymywać nas będą duchy towarzyszy broni“. Może więc stałeś przy mnie, bracie mój, poległy w Polsce, we Francji, w Norwegii, w Afryce, bracie zabity w Rosji, w okupowanej Polsce — może stałeś ramię przy ramieniu i wspierałeś i chroniłeś mojego życia...

Wzruszone jest serce żołnierza i wdzięczne za łaskę boską, za ten związek z żywymi i umarłymi. Jakże łatwo mu teraz pojąć, że włączony jest w długie wieki dziejów narodu i że choćby mu przyszło zginąć w następnej bitwie, nie skończy się chwała zwycięstw polskich żołnierzy. Jednakowo drogi jest kraj rodzinny umarłym i żywym i dlatego wielkie armie najeźdźców będą wyparte z jego granic.

* * *

Wódz Naczelny kazał uczcić poległych na Monte Cassino minutą milczenia, a na cześć żywych wznieść okrzyk: Niech żyją! — Ten symboliczny hołd oddany poległym i żywym nie wyczerpuje miary uczuć, które przepełniają serca ochotniczek P. S. K. Do żałoby i radości dołącza się bowiem jeszcze uczucie dumy i szczęścia, że i my jesteśmy żołnierzami w tym wojsku okrytym wojenną chwałą. Na naszych skromnych miejscach pomocniczej służby — gdziekolwiek znajdują się nasze m. p. — wspólne były myśli nasze i tak samo gorące życzenia. Wybiegały one do Was — niedościgłych w wojennym trudzie.

H. N.

Zwyczaj jeden dzień w roku obchodzony bywa jako święto narodowe, w którym składamy hołd przeszłości, aby się nią krzepić. Polacy mają dwa dni w roku, uznane za swoje święto narodowe. Jeden, to 11 listopada: rocznica odzyskania niepodległości po przeszło 100 latach niewoli. Drugie święto zaś, to 3 maja.

Zjawisko to jest charakterystyczne dla polskiej umysłowości i świadczy o ogromnym przywiązaniu Polaków nie tylko do własnego, niepodległego bytu państwowego, ale i do jego form ustrojowych. Albowiem trzeci maj jest rocznicą konstytucji, która w dawnej Rzeczypospolitej otworzyła szeroko odzawia równości, wolności i braterstwa dla wszystkich stanów.

Konstytucja 3 maja, wprowadzając — jak na owe czasy — niezwykle demokratyczne formy ustrojowe, jest dla nas do dzisiaj świętością narodową i do dziś obchodzimy ten dzień, jako uroczyste święto, dając tym samym zewnętrzny wyraz naszemu przywiązaniu do wolności i niepodległości Rzeczypospolitej, jak również do równości wszystkich jej obywateli wobec prawa.

Dzisiaj z wielu stron słyszymy głosy, posadzające nas — Polaków o zamaski i zakusy „faszystowskie”, o brak poczucia rzetelnej demokracji w praktyce życia codziennego. I chociaż wszyscy zdajemy sobie sprawę z niesłuszności takiej o Polakach opinii, świat współczesny nie może zrozumieć naszych wewnętrznych zmagani, zmierzających zawsze w kierunku zapewnienia Rzeczypospolitej bezpieczeństwa. I dlatego w tym roku święto narodowe Polski, kiedy pamięcią sięgamy do Jej dni tragicznych, ma swój wyraz specjalny w każdym ze skupisk polskich, rozrzuconych wola losu po wszystkich częściach świata. Wyraz ten, to szacunek dla przeszłości, która umiała w odległych czasach nadać państwu formy demokratycznego ustroju wówczas, kiedy innym krajom nawet się nie śniła równość obywateli wobec powszechnego prawa.

Słyszymy dzisiaj z wielu stron obcych wyrazy niewiary w to, że Polska zdoła oprzeć swój byt o niezmiennie podstawy demokratyczne, będące jednym z ideałów, o które toczy się wojna. Jeżeli jednak zechcemy rzucić okiem

wstecz — z dziejów Polski odczytamy coś wręcz przeciwnego, coś co zaprzecza wszelkim rozsiewanym tendencyjnie oskarżeniom, świadcząc przed całym światem o umiłowaniu demokracji przez Polaków.

Święto narodowe każdego narodu jest symbolem, który żyje. Niektóre narody obchodzą swoje święta w rocznicę odzyskania wolności; inne — w rocznicę zwycięstwa orężnego nad wrogiem, wreszcie jeszcze inne — w rocznicę nadania państwu podstawowych praw — konstytucji. Polacy mają dwa święta narodowe, łącząc w tych dwóch symbolach najgłębsze tęsknoty każdego z nas: wolność i niepodległość państwową wraz z daleko idącą demokracją, bez której zarówno w przeszłości nie widzieliśmy, jak i w przyszłości nie może być Polski naprawdę silnej.

Tegoroczne święto majowe przypada w jednym z najtrudniejszych i najcięższych momentów dziejowych, mianowicie w chwili, gdy siły przemocy chcą narzucić Polakom formy, w jakich mają oni żyć. W tych ciężkich dniach wybiegamy myślą wstecz, aby z przeszłości czerpać siły na dzień dzisiejszy. I wybiegają ku nam z przeszłości wielkie, wspaniałe dni, które dla całego świata cywilizowanego muszą być płomiennymi drogowskazami, pouczającymi o kierunku rozwoju ideałów. Wśród dni tych niezmiennie czystym blaskiem lśni trzeci maja, jako dzień zwycięstwa ideałów równości, wolności i braterstwa wszystkich stanów w wolnym i niepodległym państwie.

Toteż, jako niezłomny symbol wielkich osiągnięć historycznych, które już w roku 1791 wprowadziły w Rzeczypospolitej takie formy ustrojowe, o jakie dzisiaj walczy cały świat demokratyczny, — niech się święci wielki dzień Trzeciego Maja. I niech natchnie współczesne i przyszłe pokolenia polskie miłością wzajemną, z której rodzi się równość w prawach i obowiązkach wobec Ojczyzny!

I niechaj w uroczystych obchodach przestroga będzie dla tych sił, które rzuciły się w odległej przeszłości na Rzeczpospolitą, aby przemocą obalić ideały wielkiej konstytucji majowej, wprowadzając wśród grobowego i wstydlwego milczenia świata — rządy nierówności i ponurego wstecznictwa.

Problem Piłsudskiego

Problem Piłsudskiego — to problem wielkości politycznej narodu polskiego. Po klęsce rozbiorów i czterech pokoleniach żyjących bez własnego państwa — Piłsudski postawił przed narodem na nowo postulat własnej państwowej wielkości. Ten problem istnieje przed nami dzisiaj tak samo jak za życia Piłsudskiego — i tak samo jak za jego życia, tak samo i teraz nie jest wynikiem jakichś wybujałych ambicji narodowych, chorobliwej dumy, jakie są u podstawy wielu fałszywych nacjonalizmów i imperializmów naszych czasów — ale to jest wyraz polskiej biologicznej konieczności, naszego być albo nie być.

W publicystyce francuskiej często spotyka się dzisiaj

pojęcie „Dwóch Francji” — „Les deux Frances” — jednej, która poczuwa się do łączności ze spuścizną duchową, kulturalną i polityczną przeszłości — poczuwa się do wielkości Francji, — a druga, która się tej wielkości wyrzeka, nie wierzy w nią, uważa ją za przeżytek i szuka najłatwiejszego dostosowania do warunków życia wytworzonych przez innych.

Analogiczny proces psychiczny przechodzi także naród polski. Istnieje w nas poczucie złamania linii rozwojowej narodu polskiego przez rozbiory i cały układ polityczny późniejszej Europy; w tych warunkach szaleństwem wydają się ambicje wielkości politycznej, a mądrością jest przysto-

sowanie się do warunków życia, stworzonych przez narody od nas silniejsze. Z drugiej strony jednak istnieje w nas jasna świadomość, że takie zerwanie z instynktem wielkości politycznej równa się w naszych geograficznych warunkach powolnemu zamieraniu bytu narodowego.

Zanim Piłsudski stał się wielkim, zanim powstał wokół niego ten urok duchowej wyższości, to co nazywa się legendą Piłsudskiego, musiał sam w sobie rozwiązać właśnie ten problem, musiał przełamać poczucie słabości i małości, musiał przebyć zasadniczą pracę wewnętrzną, która jest problemem każdego Polaka i od wyniku której zależy stosunek jego do Polski. Jest to wybór między umiłowaniem jej wielkości lub poddanie się małości i rezygnacji.

„Od lat najmłodszych myślałem o służeniu Polsce, myślałem o wielkości... — mówił Piłsudski w 1931 r. — I na Sybirze nie przestawałem rozmyślać o wielkości. Zastanawiałem się, jakie drogi do niej prowadzą, jakie właściwości powinien mieć człowiek, aby stać się wielkim”.

Ważne jest to, że właśnie chęć służenia Polsce zaprowadziła Piłsudskiego do wielkości. Tak więc źródłem jego wielkości nie jest tylko żądza zaspokojenia własnych ambicji, czy zapatrzenia się w gwiazdę własnego życia — coś, co może być u podstawy wielkości Napoleona, coś, co najczęściej kończy się razem z człowiekiem.

Postać Piłsudskiego wynika z jego organicznego powiązania z narodem polskim. — Wielkość duchowa Polski znalazła swój wyraz w ludziach takich jak Mickiewicz, Słowacki, Szopen. Ale na wielkość Polski składała się także jej wielkość polityczna i ta uśpiona wielkość musiała z czasem także znaleźć swojego wielkiego człowieka. Był nim Piłsudski. Jego wielkość stanowi całość z narodem, tak samo, jak wielkość Mickiewicza, Słowackiego czy Szopena — a gdybyśmy chcieli szukać analogii z życia politycznego innych narodów, z całą ostrożnością porównać, można by powiedzieć, że osoba Piłsudskiego jest taką samą integralną całością z narodem, jak osoba Washingtona czy Caveura zrosnięte są z narodami, które ich wydały.

Piłsudski jest odbiciem wielkości politycznej narodu polskiego, wielkości, której częśćka żyje w każdym z nas.

Kiedyś, rozmawiając o etnicznych różnicach i typach polskich, Piłsudski, zwracając się do swojego rozmówcy, powiedział: „A był Pan kiedy na Kaziuku w Wilnie? Zobaczyłby Pan tam, że na każdym chłopskim wózku siedzi Piłsudski. Oni tam mają takie same niebieskie oczy, jak ja i tak samo, jak ja, patrzą. Bo ja z tych stron pochodzę”.

Tak — jest dużo ludzi, którzy patrzą i patrzeć będą na Polskę oczami Piłsudskiego. On spośród nas pochodzi i z naszych przeżyć historycznych wyrósł. Dlatego życie jego było pełne największych trudności i zmagani, jak trudne a czasem beznadziejne jest życie Polaka.

„Często znajdowałem się w położeniu bez wyjścia. Byłem jak człowiek... ze wszystkich stron zamurowany, kroku uczynić nie mogłem... Położenie bez wyjścia... Pamiętam noc z 5 na 6 sierpnia 1920 r. Była to okropna noc, nie zapomnę jej nigdy... nie wiedziałem co począć... Byłem człowiekiem zamurowanym, człowiekiem nie mającym wyjścia. Zdawało mi się, że tego wyjścia nie znajdę, że w ogóle go nie ma. A jednak znalazłem wyjście... To ręka Boża



działa, prowadzi mnie i osłania.” — Tak mówił Piłsudski o swoich najcięższych przeżyciach.

By przejść przez życie tak jak on przeszedł, trzeba było olbrzymiego natężenia się — ale Piłsudski nigdy nie ustępował, gdy ceną zapłaty miała być rezygnacja z wielkości Polski.

Uważał, że przyszłość narodu leży w zaufaniu do siebie, w swoje niezniszczalne możliwości — nie leży w folgowaniu swojej słabości. I to właśnie czyniło nieraz trudnym stosunek Piłsudskiego do własnego społeczeństwa, które za życia często nie rozumiało wielkich celów, jakie narodowi stawiał. Stąd stosunek jego do społeczeństwa był nieraz dramatyczny i czasem wręcz tragiczny. Bo kochając Polskę i wierząc, że bez wielkości jej przyszłość nie da się rozwiązać, walczył z własnym społeczeństwem zawsze tam, gdzie widział objawy wyrzeczenia się wielkości i schodzenie na drogę słabości. Nie rozumiany, zamykał się w swej samotności, przepojonej nieraz żalem i goryczą zawiedzionej miłości: „Nie wiem, dlaczego Bóg kazał mi żyć w Polsce — mówił w 1931 r. — ...myślałem już nieraz, że umierając przeklnę Polskę. Dziś wiem, że tego nie zrobię. Lecz gdy po śmierci stanę przed Bogiem, będę go prosił, aby nie przysłał Polsce wielkich ludzi... co naród polski daje wielkim ludziom i jak się do nich ustosunkowuje”.

W czasach, w których żyjemy, zagadnienie walki o wielkość Polski stało się, jak za życia Piłsudskiego, kwestią naszego bytu.

Czytaliśmy niedawno w rozkazie Naczelnego Wodza, że na to, ażeby wygrać bitwę o Polskę, konieczne jest pozyskanie serca i duszy żołnierza. Piłsudski zdobywał serca

i dusze dla wielkości Polski. Piłsudski wygrywał i zwyciężał — nie tracił nigdy wiary w Polskę i jej wielkość. Dał dowód, że szaleńcem jest ten, który Polskę chce zniszczyć lub Polski nie szanuje.

Od czasów rozbiorów mieliśmy przed Piłsudskim trzech wielkich polskich statystów: Ignacy Potocki, Adam Czartoryski i Wielopolski. Ich programy polityczne, tak realnie obmyślane, kończyły się zawsze utopią. Piłsudski różnił się od nich tym, że zaczynał od szaleństwa i utopii, ale kończył na realizmie swojego zwycięstwa. Dlaczego? — bo, zanim rozglądał się o pomoc zewnętrzną, pomyślał nad wydobyciem maksimum wewnętrznej woli politycznej samego narodu polskiego, — czego tamtym brakło. Piłsudski wiedział, że Polska tworzy się w chaosie, że w tym chaosie musi zachować wyraźną i silną swoją indywidualność polityczną — jaką mogą dać nowe warstwy społeczne. Tym warstwom Piłsudski dał z wszystkich dobrodziejstw najcenniejsze — dał poczucie związania z państwowością polską.

A dla Piłsudskiego państwo to nie jałowa forma paragrafów, to nie suche urzędy i biurokracja — to przede wszystkim wcielenie naszych największych ideałów życiowych; to jest państwo, które bierze na służbę wysiłki wszystkich Polaków.

Tę wielkość duchową państwa polskiego Piłsudski do życia przywrócił i z tego dzieła jego życia my wszyscy czerpiemy.

Idziemy w czasy inne i nowe i bardzo nieznane. Dużo rzeczy towarzyszących epoce Piłsudskiego stało się staroświeckim przeżytkiem. Ale nie sądzmy, abyśmy byli ludźmi bez wczoraj. W polityce państwowej oprócz elementów zmiennych i płynnych są także elementy stałe. I Piłsudski w państwowym życiu Polski reprezentuje przede wszystkim właśnie elementy stałe, elementy podstawowe dla jakiegokolwiek polskiej polityki państwowej, niezależnie od epoki i sytuacji.

Imię Jego będzie związane nie z tą czy inną grupą czy partią polityczną, nie z taką czy inną formą polityczną, ale imię Jego oznaczać będzie powagę i autorytet ideowy państwa polskiego, oznaczać będzie stosunek wewnętrzny Polaka do swojego państwa, do wielkości Polski.

Ta myśl Piłsudskiego pójdzie z nami w wieki poprzez wojny i nieszczęścia, pójdzie z nami do przyszłych zwycięstw i przyszłych nowoczesnych form organizacyjnych naszego państwa. Ta myśl żyje z nami teraz w chwilach najcięższej próby — o niej można powiedzieć słowami Krasieńskiego:

I wzeszło słońce nad ruinami Rzymu.

I nie było komu powiedzieć, gdzie się podziały ślady
myśli mojej.

Ale ja wiem, że ona jest i że ona żyje.

Jan Szuldrzyński



Złożenie Serca Józefa Piłsudskiego na Rossie



Kościół ewangelicki przy ul. Zawalnej

Wilno — miłe miasto

Wilno ma swój własny charakter i ton, jest pieśnią entuzjazmu, rozjarzonego do białości w wiekuistej „Odzie do młodości”, a sięgającego w ekstazie po krańce wszechświata w „Improwizacji” trzeciej części „Dziadów”. Entuzjazm ten wyraża i drugi wielki syn duchowy Wilna, Słowacki, mówiąc o Bogu — „On lubi huczny lot olbrzymich ptaków, a rozhukanych koni On nie kielza...”

Zasadniczy ten pierwiastek ducha polskiego, źródło wiekuiste czynów Grunwaldu i odsieczy wiedeńskiej, konstytucji 3 maja i „Cudu nad Wisłą”, znalazł najpełniejsze swe wcielenie w charakterze Wilna — ustalił się w murach wileńskich od Kaplicy Ostrobramskiej poprzez strzeliste wieżyczki kościołów św. Anny, poprzez majestatyczne krużganki arkadowe Akademii, wulkaniczny wybuch szału twórczego w kościele św. Piotra i Pawła, aż po nieporównane w swej rozhukanej a subtelnej fantastyczności prezbiteria św. Jana i Dominikanów, aż po przepiękne w swej monumentalności kolumny portyku Katedry.

Ziemia wileńska dała też Polsce największych entuzjastów czynu, od Kościuszki i Traugutta aż do Piłsudskiego i tylu innych. Ona to wydała promienną plejadę filaretów i wieszczów narodu z Mickiewiczem i Słowackim na czele.

Wsluchując się bacznie w pieśń dziejową Wilna, dostrzeżemy inne jeszcze mity, łączące się harmonijnie z motywem zasadniczym. Z oddali wieków dochodzą nas ciche echa serdecznego a głębokiego na śmierć miłowania Zygmunta Augusta i Barbary, spiżowe tony kazań Skargi — zgłuszone jękiem ofiar mordowanych przez najazdy moskiewskie, katowanych przez Murawiewa, dręczonych w więzieniach przez inwazje rosyjskie — carskie i bolszewickie — tudzież okupacje niemieckie.

...Pierwszą datą ściśle historyczną, związaną z dziejami Wilna, jest rok 1323, kiedy to Giedymin pisze list do papieża z wyrażeniem gotowości przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Przy podziale państwa litewskiego między braćmi Kiejstutem a Olgierdem — Wilno jest stolicą Olgierda i odgrywa już dużą rolę na szlaku handlowym między Rusią a hanzeatycką Rygą. Następca Olgierda na tronie wielkksiążęcy jest Jagiello (1379—1443). Przyjęcie przez Jagiellę chrześcijaństwa w Krakowie (1386) i objęcie tronu polskiego przez małżeństwo z Jadwigą staje się punktem zwrotnym, decydującym o dalszych losach Litwy i Polski, a tym samym i Wilna. Rozciągnięcie przez Jagiellę praw i przywilejów polskich na ziemię litewską, nadanie miastu

samorządu — były to fakty wiekopomne, pod bezpośrednim impulsem kultury polskiej dokonane, które w ciągu krótkiego czasu pchnęły miasto na tory nieoczekiwanego rozwoju, wyznaczając mu rolę drugiej stolicy najpotężniejszego wówczas państwa w Europie wschodniej.

Przekształcenie miasta na modłę europejską, rozpoczęte przez Jagiellę, trwało czas dłuższy. Wzorowano się głównie na Krakowie. Zarówno Jagiello, jak i jego następcy sprawowali do Wilna z Krakowa nie tylko księży, urzędników, wojskowych i dworzan, ale i artystów, rzemieślników, kupców — ustanawiali jarmarki, przyswajając Litwie kulturę życiową, umysłową i moralną Polski. Wpływ tej kultury staje się coraz widoczniejszy we wszystkich dziedzinach życia. Na miejsce pogaństwa krzewi się wiara chrześcijańska, despotyzm książąt zamienia się w system wysoce parlamentarny, który znajduje swój pełny wyraz w połowie XVI wieku w organizacji sejmików, prawo zwyczajowe ustępuje miejsca doskonałemu kodeksowi „statutu litewskiego”, ciemnotę ludu usuwają coraz liczniejsze szkoły ukoronowane akademią.

„Wiek Złoty” dla Wilna zapoczątkowuje panowanie ostatniego z Jagiellonów i Stefana Batorego. Zygmunt August (1548—1572) darzył Wilno serdecznym przywiązaniem i pełną energią troskliwością, dzięki czemu Wilno staje się istotną stolicą całej Rzeczypospolitej.

Chlubne zakończenie epoki Jagiellonów stanowi zaprzysiężenie w roku 1569 unii lubelskiej, łączącej po wieczne czasy Litwę z Koroną „jako równych z równymi i wolnych z wolnymi” — w jedno nierozdzielne państwo. Prawdziwa szlachetność tego jedyne w dziejach Europy dobrowolnego połączenia się dwóch organizmów państwowych jest najpiękniejszym rezultatem kulturalnej polityki Polski.

Stefan Batory przebywał często w Wilnie w związku z swoimi wyprawami wojennymi na Moskwę. Jemu zawdzięcza Wilno akademię (1578) zrównaną we wszystkich prawach i w znaczeniu z akademią krakowską, a Wielkie Księstwo — Trybunał Litewski, najwyższą instancję sądową, która przetrwała do trzeciego rozbioru Polski. Wilno może się w tym czasie poszczycić mężami tak światłymi i sławnymi jak Piotr Skarga, Piotr Royzius (sławni humaniści), Augustyn Rotundus-Mieleski (wybitny pisarz i historyk).

Jeszcze prawie do połowy XVII w. trwa dalszy rozwój miasta. Ciosem brutalnym, w skutkach strasliwym, było zdobycie Wilna przez wojska moskiewskie, w chwili, gdy całą Polskę zalewają falangi Szwedów. Rzeź ludności miasta, zrabowanie doszczętnie pozostałych przy życiu, pożar przez 17 dni szalejący, a wreszcie głód i zaraza zamieniły miasto w jedno cmentarzysko. Dalsze losy Wilna, poczynając od tej katastrofy, stanowią obraz zaciętego szamotania się niespożytej energii ludności z nawałą klęsk, jakie ustawicznie spadają na miasto i wiodą je wraz z całą Rzeczypospolitą ku nieuniknionemu upadkowi.

Druga wojna szwedzka sprowadziła na Wilno nową serię ciosów. W roku 1702 plądrują miasto Szwedzi, w roku 1705 zajmują je wojska moskiewskie pod wodzą Piotra Wielkiego, wreszcie saskie. Kraszewski, opisując ten okres, słusznie wspomina — „że w tylołicznych klęskach, które wieki XVII i XVIII tak ciężkimi dla Wilna były, nie znikły

jednak zupełnie, starożytne pamiątki i ślady pisane jego dziejów, cudownym jest prawie.”

Dłuższy okres pokoju za Stanisława Augusta wpłynął korzystnie na rozwój handlu i przemysłu i wzbogacił mieszczanństwo. Życie kulturalno-naukowe w tym okresie puszcza również bujne nowe pędy. Ówczesna akademia wileńska uległa wprawdzie w znacznym stopniu oschłej rutynie, panującej zresztą w tym czasie na wszystkich uniwersytetach Europy — mimo to jednak założenie obserwatorium astronomicznego, przebudowanie gruntownie w latach 1782—1788 przez słynnego astronoma wileńskiego ks. Marcina Poczebotta, dowodzi wymownie o żywotności ruchu naukowego i zrozumienia jego potrzeb przez społeczeństwo. Gdy wiekopomna Komisja Edukacyjna przejęła po kasacie jezuitów ich szkoły i uczelnie, uniwersytet wileński nie przerywa ani na chwilę swej działalności, lecz przeciwnie reformuje ją i odmładza pod kierunkiem Poczebotta, wprowadzając wykłady medycyny i architektury. Z dziejami sztuki wileńskiej związane są chlubne nazwiska profesorów sztuk pięknych — architektów Gaćewicza i Szulca, malarzy Smuglewicza i Rustena.

W ostatniej ćwierci XVIII w. Wilno na równi z całą Rzeczypospolitą bierze udział w pracy polityczno-społecznej nad reformą państwa, popierając stale dążenia postępowe. Konstytucja 3 maja znalazła w przedstawicielach Wilna na sejmie nie tylko gorących zwolenników, ale też i współautorów tego epokowego dokumentu kultury polskiej.

Wojna polsko-rosyjska w 1792 roku sprowadza na Wilno wraz z całym Wielkim Księstwem Litewskim okupację Moskali, którzy zaprowadzają tu rządy wojskowe. Lecz już na Wielkanoc 1794 r. na wieść o powstaniu kościuszkowskim wybucha w Wilnie odruchowo pod wodzą pułkownika Jakuba Jasińskiego powstanie uwięzione powodzeniem. W dniu 24 kwietnia spisano „Akt powstania” pod hasłem powrotu Wilna do Polski. Kiedy trzeci rozbiór Polski oddał Wilno „formalnie i legalnie” pod panowanie Rosji, W. Księstwo pozbawiono dawnego ustroju, a miasto dawnych przywilejów oddano w ręce „wojennego gubernatora”.

Pod niszczyielskimi zapędami władzy zaborczej ostała się jedynie na czas dłuższy świątynia nauki i oświaty polskiej — uniwersytet. Dzieje się to dzięki opiece kuratora ks. Adama Czartoryskiego i rektora St. Stroynowskiego. Szczęśliwy dobór pierwszorzędnych sił naukowych — Jędrzej i Jan Śniadeccy, Józef Frank, Joachim Lelewel, Ernest Grodecki, Euzebiusz Słowacki, Leon Borowski i w. i. — sprawił, że wkrótce uniwersytet wileński zajaśniał blaskiem na całą Polskę, tworząc ognisko myśli i ducha narodowego. Najwyższym wyrazem tego odrodzenia kultury polskiej stanie się później geniusz Adama Mickiewicza.

Entuzjastycznie przeżywa Wilno rok 1812 — rok napoleoński, zapowiedź rychłego połączenia się z restytuowaną Polską. Tragiczny odwrót Napoleona, zajęcie Wilna z powrotem przez wojska moskiewskie pod wodzą Kutuzowa, położyły kres nadziejom. Ale mimo, że kongres wiedeński nie połączył W. Ks. Litewskiego z resztą Polski, kulturalne wysiłki i osiągnięcia Wilna dały mu miano „Aten polskich”. Sprawy społeczne budzą również żywe zainteresowanie, skoro w r. 1817 na sejmiku wileńskim uchwalono petycję do



Zaulek Kazimierzowski w Wilnie

cara o zniesienie pańszczyzny. Tajne związki filomatów i promienistych-filaretów wnoszą w koła młodzieży akademickiej polot ducha i podniosły prąd etyczny. Uwięzienie filaretów, proces i deportacja ich w głąb Rosji (1823) rozpoczynają okres represji, usiłujących coraz brutalniej zdławić ognisko kultury polskiej.

Wieść o wybuchu powstania 29 listopada w Warszawie porywa Wilno. Młodzież gimnazjalna i uniwersytecka tłumnie przedostawała się za Niemen do szeregów narodowych (geneza popularnej pieśni „Za Niemen, hen, precz”). Po upadku powstania triumfująca przemoc caratu wywiera okrutną zemstę. Najwybitniejsi obywatele zostają masowo skazywani na Sybir lub ratują się emigracją. 1 maja 1832 r. zamknięto uniwersytet... Jednak wszystkie te prześladowania wzmagały tylko hart ducha polskiego. Tworzą się organizacje spiskowe, a jedną z najpromienniejszych postaci pozostanie emisariusz Szymon Konarski, twórca „Związku Ludu Polskiego”, rozstrzelany w Wilnie r. 1839. Wykrycie spisku pociągnęło za sobą wywiezienie na Sybir lub posłanie w rekruty kilkuset patriotów. Nie odstraszło to jednak następców. W r. 1848 odbyła się w Wilnie egzekucja spiskowców Hofmeistra i Reniera, a w kilka lat później zesłanie na Sybir braci Dalewskich.

Na równi z Warszawą odbywają się w Wilnie manifestacje poprzedzające wybuch powstania styczniowego. W Wilnie powstaje Komitet Obywatelski jako Wydział Rządu Narodowego na Litwie. Walki zbrojne w Wileńszczyźnie

rozpoczęły partie powstańcze pod wodzą Ludwika Narbutta i Zygmunta Sierakowskiego. Rząd carski przysyła do Wilna, w władzę dyktatorską wyposażonego, generał-gubernatora Michała Murawiewa, przezwanego „wiesziatkiem”. Plac Łukiski spłynął krwią traconych publicznie, uczestników ruchu i ich rodziny masowo wywożono na Sybir, konfiskując jednocześnie ich majątki.

Przepisy wyjątkowe skierowane przeciw Polakom w połączeniu z forsowną rusyfikacją we wszystkich dziedzinach życia, nie wyłączając religii, natrafiły jednak na odporność ducha polskiego. Stworzenie i popieranie ruchu narodowego litewskiego niszczyło osiągnięcia unii i długich wieków zgodnego współżycia.

Wybuch wojny światowej 1914 r. zelektryzował cały naród przewidywaniem wskrzeszenia państwa polskiego. Po rozgromieniu frontu rosyjskiego, Wilno zajęły wojska niemieckie (18 września 1915 r.). Okupacja niemiecka zrujnowała ludność ekonomicznie i kontynuowała pogłębianie rozdziału między ludnością polską a Litwinami. Niemcy stworzyli fikcyjne państwo litewskie ze stolicą w Wilnie i pozwolili do życia 1917 r. naczelny organ tego państwa pod nazwą „Taryba”.

Gdy po przegranej wojnie państw centralnych Polska zrzuciła z siebie jarzmo niewoli, Wilno, tworząc miejscową Organizację Wojskową, przygotowuje się samorzutnie do obrony przed zbliżającą się od wschodu armią bolszewicką. Młodzież szkolna i robotnicza stanęła do walki na

przedmieściach Wilna w dniu 4 i 5 stycznia 1919 r. Długi szereg mogił na Rossie pozostał pomnikiem tego cichego bohaterstwa.

A jednak w tych najokropniejszych do wytrwania dniach wierzone w Wilnie, że Polska Wilno oswobodzi. W Wielką Sobotę 19 kwietnia 1919 r. tętent ułanów Beliny zadzwonił pod starożytnym sklepieniem Ostrej Bramy. Nie bacząc na walki uliczne, kto tylko mógł chwycił porzuconą na ulicy broń i szedł pomagać na ochotnika wojsku. Drugiego dnia świąt Wielkanocy na czele wojsk polskich wkroczył do miasta Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny Józef Piłsudski...

Jeszcze w tym samym roku w dniu 11 października wskrzeszono uniwersytet, dając mu miano założyciela — Stefana Batorego. Odżyła ta najdalej na wschód wysunięta placówka nauki i kultury polskiej. Przyszedł potem rok 1920 — ponowny najazd bolszewicki na Wilno. I znowu najężdźca oddaje Wilno Litwinom. Zaprotestował przeciwko

„Cudem na Ojczyzny łono...”

Polak, który objechał świat cały, zwiedził Rzym i jego świątynie, albo nawet podróżował po Ziemi Świętej, przecież najsilniejsze wzruszenie religijne zawdzięczać musi obrazowi Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie. Nie wiem, czemu przypisać to, jak również i fakt, że nie tylko katolicy, ale Żydzi czy Rosjanie — za dawnych lat przynajmniej okazywali niezwykłą cześć dla tego raczej skromnego, obrazu. Może przyczyną jest to, że w przeciwieństwie do innych, cudami słynących wizerunków Matki Boskiej, Ostrobramska widna jest na codzień, otwarta dla wszystkich bez wyjątku i bez różnicy wyznania i narodowości. Ona jest dostępna dla każdego. Ona i Jej łaska, wyrażająca się właśnie w wielkim i nie zapomnianym wzruszeniu, jakie ogarnia przechodnia, który idąc ku kaplicy, musi bezwiednie podnieść oczy i ujrzeć tę, co „w Ostrej świeci Bramie”. Gdy zaś przechodzień zstępuje uliczką w dół, od strony kaplicy, musi, również bezwiednie, patrzeć w oczy ludzi klęczących na bruku. W tym drugim wypadku wzruszenie jest jeszcze większe.

Lecz jakże wielkie było wzruszenie nas wszystkich Polaków w Londynie, gdy ujrzeliśmy wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, wmurowany w łuk jednej z naw katedry westminsterskiej! Jest to votum, ufundowane przez dywizjon myśliwski ziemi wileńskiej, odsłonięcie zaś obrazu odbyło się uroczystości dnia 15 marca b.r., w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej i Wodza Naczelnego. Przybrań w hełmy polowe stanął na środku katedry poczet ze sztandarem biało-czerwonym, wyhaftowanym w Wilnie, który daleką i niebezpieczną odbył drogę, by dostać się w ręce polskich lotników. Sztandar ten przechodzi co pewien czas, w ustalonej kolejności, z dywizjonu do dywizjonu, stanowiąc wspólny znak i hasło wszystkich polskich lotników.

Walczą oni o Polskę całą i niepodzielną, a symbolem całości i niepodzielności jest właśnie Wilno, czemu wymowny wyraz dali, fundując votum Pannie Świętej, która

temu oręcznie gen. Żeligowski, który na czele swej litewsko-białoruskiej dywizji dnia 9 października 1920 uwolnił Wilno spod rządów Litwy Kowieńskiej. Pertraktacje polityczne na forum Ligi Narodów przeciągnęły się aż do końca 1921 roku. Wreszcie odbyły się wybory w Wilnie do tzw. Sejmu Orzekającego. Hasłem, pod którym odbywały się wybory brzmiało — „do Polski!”, a w dniu 20 lutego 1922 r. Sejm Orzekający uchwalił prawie jednomyślnie (na 101 głosujących, 3 wstrzymało się od głosowania) wcielenie ziemi wileńskiej do Polski po wieczne czasy bez żadnych warunków i zastrzeżeń, odnawiając swą uchwałą tradycję unii lubelskiej.

Losy Wilna w wojnie obecnej są nam znane. Ale i to wiemy, że przez wieki trwająca wierna polskość tego miasta nie może być naruszona żadną kalkulacją polityczną. „Miłe miasto” Jagiellonów, Mickiewicza, Piłsudskiego pozostanie przy Rzeczypospolitej po wieczne czasy.

według Juliusza Kłosa

choć w różnych miejscowościach i pod różnymi nazwami, przecież zawsze jest ta sama, jedna i jedyna, obejmująca Polskę całą i niepodzielną. Mickiewicz zaczynając swe arcydzieło w pierwszym wierszu od wezwania „Litwo! Ojczyzno moja!”, — przecież o krok dalej, bo już w wierszu piątym, modli się słowami: „Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie, Ty, co gród zamkowy Nowogródzki...”, wymienia więc trzy Matki Boskie, Częstochowską, Ostrobramską i Nowogródzką, myśli zaś o jednej, jedynej, która jest królową Polski i która może nas powrócić „cudem na Ojczyzny łono”.

O tym cudzie myśleliśmy wszyscy, zebrani w katedrze westminsterskiej. Zaiste, o cudzie. Jest jakiś straszliwy rozdźwięk w fakcie, że wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej świeci w katedrze westminsterskiej właśnie dzisiaj, gdy cudze żądania, dotyczące Wilna i Nowogródka, jak również połowy Polski uznano tu, w Londynie, za zrozumiałe i usprawiedliwione. Dla nas pozostaną one na zawsze niezrozumiałe i nieusprawiedliwione, a lotnik polski, marynarz i polski żołnierz walczą równie dobrze o Kraków czy Warszawę, jak o Wilno i Lwów. Walczą o Polskę całą i niepodzielną, o Tę, którą opuścili przed czterema i pół laty i do której pragną wrócić ze wszystkich sił.

Wmurowanie obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w łuk westminsterskiej katedry stanowi symbol wyraźny dla każdego, kto umie patrzeć i czytać. Tym bardziej zrozumiałą jest rzeczą, że prasa brytyjska pominęła tę uroczystość wymownym milczeniem. Zapewne te same, polityczne względy sprawiły, że katedra westminsterska nie zapaliła wszystkich swych świeczek w dniu odsłonięcia medalionu naszej Matki Boskiej Ostrobramskiej, oraz że uznała za wskazane wydelegować zaledwie kanonika, miast wystąpić z ceremoniałem, godnym tej chwili oraz takim, który by uświetniony był obecnością proboszcza, zatem arcybiskupa.

Rozumiemy to. A rozumieć znaczy wybaczać. Matka Boska Ostrobramska, patronka bohaterskiego dywizjonu

ziemi wileńskiej, osłaniającego tę wyspę przed napadami Niemców, jest królową na wygnaniu. Lecz dla nas — emigrantów polskich, w jakichkolwiek ramach, świeci Ona wszystkimi promieniami łaski i daje nam najgłębsze, najsilniejsze wzruszenie: każe myśleć o Polsce, o powrocie Polski całej, wolnej i niepodległej, o powrocie choćby „cudem”. A tymczasem przenosi Ona nasze dusze utęsknione do tego wszystkiego, co przyszło nam opuścić i czemu dzisiaj grozi nowa fala zagłady, uznana przez sprzymierzeńców naszych za słuszną i usprawiedliwioną.

Lecz równocześnie ten obraz, jakże piękny w swej skromności prawdziwie królewskiej, każe nam myśleć o

innym cudzie. O cudzie męstwa naszych lotników. O cudzie męstwa całej polskiej siły zbrojnej, więc tej w powietrzu, na morzu i — obecnie — na ziemi włoskiej. Walczy ona o drogę do Polski. O połączenie się z drugą naszą siłą zbrojną, więc z armią podziemną, która nie złożyła broni ani na chwilę najkrótszą, i która dziś, w piątym roku nieustannej wojny z Niemcami, liczyć się musi z uderzeniem, grożącym ładą chwilą ze wschodu.

Wytrwałość niezłomna jednych i drugich, tych w Kraju i tych poza Krajem, stanowi cud, który przecież i mimo wszystko może nas wrócić i wróci „na Ojczyzny łono”.

Zygmunt Nowakowski

Ojczyzno moja, ziemio cicha

Gdzieś przy ulicy sto czterastej,
Gdzieś na wybrzeżu, nad Hudsonem,
Chodzę zupełnie innym miastem —
Ojczyznę pachnie tam i domem.

Tak tam drzewami wiatr kołysze,
Czasem się takie głosy wędrują,
Jakby wiatr niósł je od Snipiszek,
Jakby je zbierał pod Katedrą.

Nic wtedy nie wiem, nie rozumiem,
Oczy zachodzą mgłą i łzami,
A Hudson tak jak Wilia szumi,
A serce drży jak w Ostrej Bramie.

Ojczyzno moja! Ziemio cicha,
Ziemio z ksiąg „Pana Tadeusza”,
Choć moich wołań tam nie słychać,
Nad tobą błądzi moja dusza.

I mleczna droga nieomylna,
Którą nie jeżdżą już subway'e,
Prowadzi prosto mnie do Wilna
Przez wszystkie smutki i nadzieje.

A na tej drodze... liczę głosy,
Modlitwy zbieram i wołania —
Od Antokola aż do Rossy
O dzień, o słońce Zmartwychwstania.
Ryszard Pobóg

Kresowa straż

Lwów! Lwów!
Krew ciskam do mych słów!
I krzyk serc polskich od brzegu do brzegu!
Niech się, jak piorun, rozlega!
Niech wali, huczy i grzmi
O polskiej wylanej krwi!
O tych dzieciach, ginących na ulicach grodu,
Za cześć i całość narodu!
Nóż hajdamacki w pierś nam godzi znów!
Lwów! Lwów!

Chciałbym nad Polską być wawelskim dzwonem,
Wionąć, jak orlem chorągiew pąsowa,
I bić w dwa morza i grzmieć ust milionem
Nie dajmy Lwowa!

Nie chcemy cudzych ziem!
Lecz tego, co się należy —
Rycerze, wnuki rycerzy,
Brońcie ostatnim tchem!

Tysiąc walecznych na Lwowa obronę!
Tysiąc walecznych, a Lwów będzie nasz!
Tam — na z orłami sztandary czerwone.

Na nasze serca płomienne, jak one,
Czecha kresowa straż!

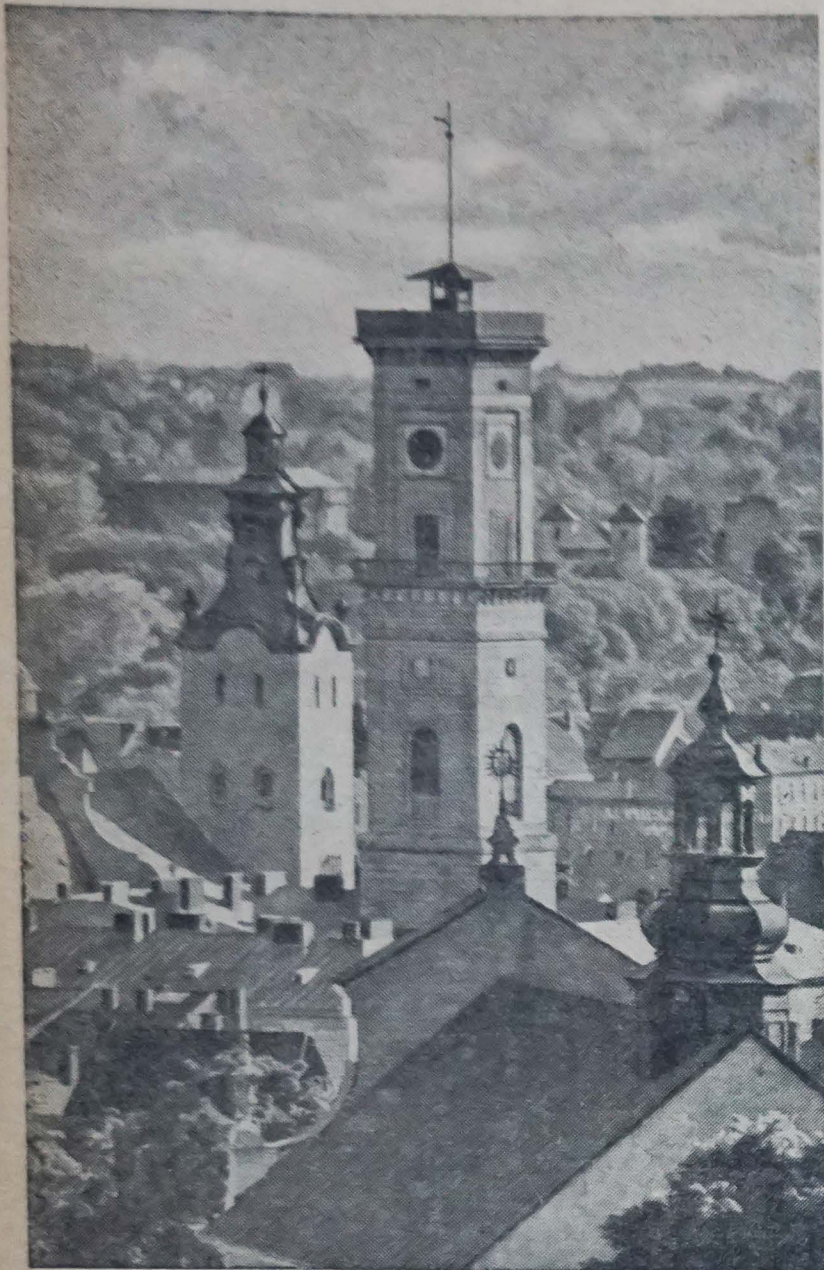
Po domach, po zaułkach, po miasta zahątach
Widzę: kobiety, dzieciaki,
Jak kanonierzy przy płonących lontach,
Dumniejsze z każdą godziną,
Walczą i giną
Z okrzykiem: My Polaki!

Wodzu!
Pośpiesznym marszem ślij kawalerie!
Niech idą polskie baterie!
Niech lotnik Polskiej Pospolitej Rzeczy
Zaniesie wieść o odsieczy!
To Zbaraż nowy ten ich bój śmiertelny!

Wodzu Naczelny!
Tysiąc walecznych na zdeptanie łbów
Wroga!
Tysiąc walecznych w imię Polski Boga!
Błysnąć w pałasze!
I kresy będą nasze! —
I Lwów! I Lwów!

Or-Or

Lwów — serce gorejące Polski



Zakładając z końcem XIV stulecia arcybiskupstwo łacińskie na Rusi, nie wiedział jeszcze papież o Lwowie: — „Co to jest za wieś czy miasto”. Tym lepiej natomiast znali tę nazwę kupcy całego świata. Na przełęczu dwóch wieków, czternastego i piętnastego, zasłynął bowiem gródek ten nieznaczny dotąd, jako najważniejsza stacja tranzytowa między Wschodem a Zachodem. Sukno jest najważniejszym artykułem, ale i cały towar wschodni. Idą więc przez Lwów transporty korzeni, futer, niewolników, jedwab włoski. A w zamian za to płody ziem polskich kierują się na Wschód.

Miasto handlowe zaczyna rozwijać swój przemysł. Słynie z wytwórczości broni. Łuczników i płatnerzy lwowskich ceniono wysoko. Wyrabiali kusze, którymi miasto obdarzało wojewodów multańskich. Dalej wyrób pasów metalowych, nieodzownej części ówczesnego stroju polskiego.

Kiedy za sprawą królowej Jadwigi, która wydobyla Ruś spod panowania węgierskiego, Lwów odzyskał dawne związki z Macierzą, Jagiello uwiecznił te związki w pamiętnym dokumencie — „Lwów i ziemia lwowska nigdy żadnemu księciu ani panu oddane nie będą, ale po wieczne

czasy z Koroną Królestwa Polskiego nierozdzielną stanowią
mają całość¹³ (1389).

I tak też było, póki Rzeczpospolita trwała w niepodległości. I tak się stało, gdy po długiej niewoli niepodległość odzyskała. Lwów strzegł granic Rzeczypospolitej, Lwów umacniał wokół kulturę polską, a zagarniając jako miasto handlowe obce żywioły, polonizował je bez przymusu samą swoją polskością, w której była przewaga duchowa i żywotność.

Lwów złoty, renesansowy, wydał trzy świetne nazwiska — poety, muzyka i rytownika. Byli nimi — Szymon Szymonowicz, twórca po dziś dzień żywych „Siclanek”, Marcin Łowczyk, organista króla Zygmunta Augusta, mistrz kontrpunktu, autor popularnych pieśni religijnych i Jan Ziarnko, mieszczanin lwowski, którego zowią ojcem chrzestnym nowoczesnej grafiki. Pierwszy druk lwowski jawi się za Stefana Batorego — gdy w „połowej drukarni” wychodzi poemat łaciński Jana Kochanowskiego „Drias Zamchana” (1578), a wkrótce potem drukowano we Lwowie poezje Mikołaja Sępa Szarzyńskiego.

Zygmunt Stary żył się z Wawelem, syn jego czuł się dobrze w Wilnie, Poniatowski w Warszawie najlepiej. Sobieskiemu natomiast w latach czynu i wysiłku najbardziej przypadł Lwów do gustu. Już hetman Sobieski żyłty był z miastem, a jako wódz i król jeszcze więcej. Umiał natchnąć miasto dobrą myślą w każdej udręce, a sam się wystawiał w pierwszym szeregu kopijników. Ze śmiercią zwycięzcy pod Wiedniem skończył się okres wielkości miasta. Z roku na rok upadała siła państwa, z roku na rok upadał wraz z nim jednaki w doli i niedoli Lwów. Semper fidelis.

Może więc spokojnie region lwowski zapisać na swoje dobro udział, jaki wziął we wszystkich ruchach narodowych, od czasu wytyczonych, tu się koncentrujących prób powstańczych po trzecim rozbiórce i od czasu, gdy kilku ułanów ks. Józefa w r. 1809 zabrało na krótko miasto Austriakom. W powstaniu listopadowym ogromny, niewspółmierny procent stanowili ochotnicy galicyjscy. Noc listopadowa nie skończyła się wybuchem tylko dlatego, że chytry Wiedeń umiał w czas przysłać na fotel namiestnikowski gładkiego i kokietującego Polaków namiestnika z Czech. W epoce spisków polistopadowych stanęli pod szafotem ludzie, którzy później doszli istotnie wysoko, bo do prezesury Rady Państwa w Wiedniu (Smolka), lub do kapelusza kardynalskiego (ks. Albin Dunajewski). W tych latach dwudziestu Lwów przeszedł katusze nie mniej dotkliwe od razów knuta rosyjskiego, lecz usunęły się w pamięci narodu na plan dalszy tylko dlatego, bo mając swych Nowosilcowych, nie miał Lwów Mickiewicza.

Rok 1863 zapisany jest w dziejach Lwowa tragicznie dzięki temu również, że większość wysiłków miasta, które wysłało za kordon kwiat swej młodzieży i nie szczędziło wraz z całą ziemią czerwieńską ofiar materialnych — nie dała rezultatu na polu bitwy. Miała wszelako wojna styczniowa znaczenie wychowawcze. Z jej męki i ofiary wyrósł mocny, odporny, nie zawodzący nigdy żywioł patriotycznej

inteligencji. Ludzie biali i spokojni, zwolennicy współpracy pokojowej z rządem, legitymiści spod Wawelu nazywali niespokojne zawsze miasto — „Tygrysowem”. Po dyplomie październikowym, pozwalającym na język polski w szkole, sędzie i niektórych urzędach, wypadło przeciwstawić się mentalności galicyjskiego c.k. urzędnika. Czynił to dom i czyniła prasa. Czynili wybitni pisarze i artyści, którzy wyszli swoją twórczością poza rogatki lwowskie, poza kordon, poza granice Polski.

Do Lwowa należy młodość Aleksandra Fredry i wiek męski i starość. Trzy czwarte życia z jednym jedynym chyba dłuższym wyłotem na wojnę napoleońską. „Wyjechaliśmy potem nie z równych pobudek — Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.” U zbiegu ulic Fredry, Romanowicza i placu Akademickiego stał ten pałacyk, w którym krył się karmazyn przez trzy dziesiątki lat prawie przed ludźmi, oraz prośbami dochodzącymi z Polski całej. Tu przyjmował deputacje hołdownicze, które go błagały o nowe słowo. Stąd patrzył sceptycznie dowódca 3 kompanii gwardii narodowej na „wiosnę ludów”, nie przerażony, gdy mu Austriacy w r. 1852 grozili szafotem za obrazę cesarza.

Za sprawą lwowianki rusza Artur Grottiger po nowe, wielkie zdobycze swej sztuki. Tę lwowiankę znać dobrze. Każda twarz kobieca jej twarzą się staje pod ołówkiem Grottigera. Muza Artura z gwiazdką na czole żyje na kartonach „Wojny”. I wszędzie indziej — nawet w tym orszaku Francuzów stłoczonych pod pomnikiem Napoleona, — „Wiesz, tutaj chciałbym kiedyś leżeć niedaleko tego cienia...” Tak powie Artur do Wandy za swej ostatniej bytności we Lwowie, kiedy przechadzając się z nią po cmentarzu Łyczakowskim, zatrzyma się wśród grobów i dostrzeże cień padający od krzyża poległych w r. 1863. Odtąd tym bardziej pokocha we Lwowie Ojczyznę całą, a w Ojczyźnie Lwów.

Kornel Ujejski stanie się ambasadorem wieszczcej poezji na gruncie lwowskim i jednym z najbardziej ognistych budzieli. Twórca „Skarg Jeremiego” i „Maratonu”, ziemianin galicyjski, dzierżawca magistrackiego folwarku zrósł się z miastem od dziecka po siwy włos. Żywe słowo Jeremiego słyhać w dzień każdego niemal święta narodowego — „Z dymem pożarów... O, rękę karaj, nie ślepy miecz...” Jak kartony Grottgera, tak strofy i czyny Ujejskiego będą przez dobre pół wieku żarliwym wyrazem artystycznym tęsknoty do niepodległości.

W owe czasy trybunem opinii miasta jest niestrudzony redaktor i dyrektor Jan Dobrzański, zaś przedziwnym romantycznym typem idealisty — autor modlitwy trzech narodów Polski, Litwy i Rusi — Platon Kostecki. Felieton w gazeciarstwie lwowskim należy do samborzanina, znakomitego pisarza obyczaju polskiego — Władysława Łozińskiego, a powieść szczyti się jego bratem, twórcą „Zakłętego dworu” Walerym. Satyra chlubi się — Rodociem. Czołowe miejsce zajął jednak Jan Lam, bo był z nich wszystkich „niepodległościowcem najbardziej zagorzałym.”

Plastyka lwowska tych czasów chlubi się jeszcze Rodakowskim i wielu innymi, którzy stąd, jak Jan Styka szybko wyfruwają w świat. Albo ich Krakowska Akademia Sztuk Pięknych przynęci i nie popuści.

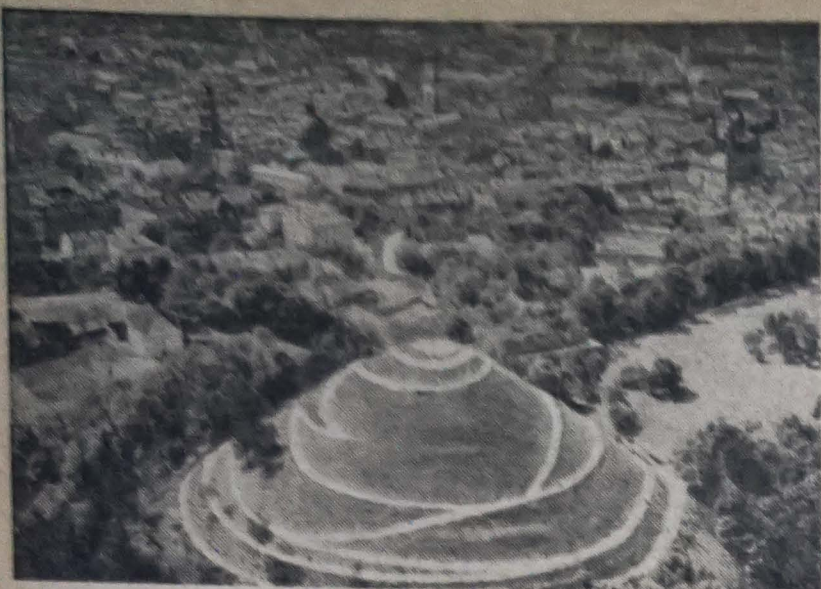
*Kaplica Boimów*

Za to teatr lwowski w XIX stuleciu od Jana Nepomucena Kamińskiego, po Ludwika Hellera, po Tadeusza Pawlikowskiego da porządną robotę, wyształci znakomitych aktorów. Z między kulis Teatru Skarbowskiego wyszła pierwsza tradycja komedii Fredry. Potem Korzeniowski. Potem znakomita Zapolska. Scena polska we Lwowie staje się centrum polszczyzny na Wołyń, Podole, Ukrainę. Jest jakby mohortowską stacją.

Ale trzeba jeszcze zajść do Ossolineum, gdzie stoi warsztat roboczy i bastion obronny i szaniec cywilizacji na kręścach wschodnich. Z małego szanica urosła twierdza zamczyska, w starym domostwie klasztorным, rozbudowanym ręką Bema, rozwinął się warsztat pracy na pospólny pożytek polskości. Pogasły ogień Krzemieńca i Wilna, znicz ossoliński przetrwał i nie dał się zdmuchnąć. Urok zaklęty w murach tej świątyni woła. Z rąk Prusaków wydiera się przemocą Kętrzyński, A. Małecki zasiada w kuratorium, stanice ukraińskie dają A. Bielowskiego, Białoruś przysyła bibliografa Przyłęckiego, rozśpiewany Litwin urządza muzeum, K. Godebski i Belza nie zrobili wstępu do Warszawy. Tubylcy galicyjscy nie dadzą się ubiec w gorliwość. Dyrektor Słotwiński latami kaźni w Kufsteinie poświadczy swoją miłość dla Ossolineum, skazany za zbrodnię druku... Mickiewicza. Szajnocha resztę oczu poświęci Katalogowi.

Fundacja J. M. Ossolińskiego była wszechnicą i akademią umiejętności w czasach zniemzonego uniwersytetu, była sztandarem kultury polskiej, zatkniętym dumnie na mogile państwowości.

W stolicy Galicji wytworzyło się środowisko, jakiego nie znalazłbyś wówczas w żadnej innej dzielnicy. Urzędnik polityczny, sędzia, kolejarz, nauczyciel polski stworzył w ciągu dwu pokoleń nowy stan lwowski, bastion inteligencji i polskości. Utrzymywały Lwów w atmosferze opozycji owe prześmiewane często obchody patriotyczne. Trzymała go



Kopiec Unii Lubelskiej

przede wszystkim szkoła. Rozwinęło się bowiem świetnie szkolnictwo powszechne i średnie, zapelniając miasta Galicji siecią szkół, pracujących wbrew intencjom Wiednia, raczej wedle wskazań i testamentu Komisji Edukacyjnej.

Aby jeszcze wspomnieć muzyków — Galla, Niewia-

domskiego i cały muzykalny Lwów z operą, konserwatorium, szkołami muzycznymi, a potem znowu wrócić do muzeów — Przyrodniczego Dzieduszyckich, Muzeum im. ks. Lubomirskich, Galerii Narodowej Miasta, stworzonej z inicjatywy i zabiegów prezydenta miasta, Tadeusza Rutowskiego.

Łańcuchem ciągnie się ta praca kulturalna z wieku XIX na wiek XX. A jednocześnie młodzież przygotowywała się do wydarzeń, które szły niezależnie od walk o formy literackie, nowe formy w sztuce, nowe zdobycze w nauce. Świat zbroił się po zęby i zmierzał ku wojnie. Niemiecko-cesarski imperializm, carskie bałamuctwa polityczne na Bałkanach i z naszej strony wycucie chwili, której nie należy stracić. Więc Strzeleckie Drużyny, więc wojenne przygotowanie się pod kierunkiem Piłsudskiego. Lwów zasilili obficie legionowe szeregi. A zaraz potem Orlęta i obrona Lwowa, który chciano nam wydrzeć. Krzyż wirtuti militari dane miastu wiecznie wiernemu. A teraz — ileż krzyży cnoty bojowej i obywatelskiej należy się miastu, które tyle najeżdżów przeżywa i tyle krwi przelewa w białe klinem między wrogów? Miasto, które niczego innego nie pragnie, tylko wiernie stać przy Rzeczypospolitej.

według Stanisława Wasylewskiego

Chodzimy po Lwowie

Tak mi się jawi Lwów w przebiegach ulic, a roztoczeniu placów, tonący w zieleni i kwiatach. Co krok jakiś gmach pamiątkowy, jakiś kościół, który ogarnął wieki.

Oto cudowny gotyk Katedry, w której nie tylko przysięgał król Jan Kazimierz, ale wszyscy ci, którzy walczyli o wolność Polski, o wolność Lwowa. Obok Katedry piękny renesans kaplicy Boimów, świadczący o bogactwie kultury lwowskiego patrycjatu.

Jesteśmy na Rynku, w samym sercu handlu miasta, ale i w samym sercu jego bujnej historii. Ratusz — tylekroć niszczone i spalony, odbudowany zawsze, aby w swoich murach głosić wielką sprawę polskości. Świadczy o tym krzyż „virtuti militari”, nadany przez Marszałka J. Piłsudskiego po pamiętnych dniach 1918 roku. Umieszczony w bramie ratusza, krzyż ten zdarty w październiku 1939 r. — znów tam powrócić musi.

Kiedy o godzinie 12 przemija zgłęb na Rynku, a zamiatacze magistracy zgarniają resztki jarzyn i więdnących kwiatów — Rynek staje się znowu muzeum pamiątek. — Trzy okienne fasady domów odbijają wtedy blask południowego nieba lwowskiego. Okrążając Rynek, przechodzimy obok kamienicy, w której umarł Michał Korybut Wiśniowiecki. Przypiera do niej najozdobniejsza 8-okienna kamienica Sobieskich, dalej „czarna” budowana przez włoskich architektów. Narożny wielki dom, gdzie żył i pisał „Sielanki” Szymon Zimorowicz. Na froncie sąsiedniego domu znajduje się płaskorzeźba Iwa — herb weneckiego konsula, który tu ongiś strzegł interesów Rzplitej Weneckiej, mającej stosunki handlowe ze Lwowem. — Jeszcze dalej 4-okienny dom Jadwiżki, ukochanej króla Władysława IV.

Na prawo z Rynku dochodzi się do barokowego kościoła Bernardynów, w którym przechowują relikwie św. Jana z Dukli, obrońcy Lwowa (1649). Przed kościołem kolumna św. Jana z Dukli, broniącego ramionami Lwowa przed nieprzyjacielem.

Mamy jeszcze trochę czasu, bo zegar na Bernardynach śpieszy się o 5 minut. Pobiegnijmy więc na plac Mariacki, na którym, ileż to razy przed zniczem mickiewiczowskim przysięgano wierność Lwowu. Cóż z tego, że najeżdźca sprofanował te stopnie mickiewiczowskiej kolumny — obce słowa tu wypowiedane ulatują bez śladu, nie mając się ani żywych serc, ani kamieni.

Opodal figura Matki Boskiej (od której plac wziął nazwę), zawsze w otoczu lampek, biała i łaskawa dla lwowskiego ludu. Ciągnie ku sobie oczy i westchnienia w każdy czas, choć bywa, że jak dziś, czarny cień tylko okala oblicze Najmilszej Panny.

Z placu Mariackiego widzimy Wały Hetmańskie, przecięte pomnikiem Sobieskiego. U wylotu Wałów — Teatr Miejski. Zbudowany u schyłku XIX w., aby zastąpił tamten, stary i zasłużony Teatr Skarbkowski. Warto tu przypomnieć charakterystyczny szczegół, świadczący o narodowym odczuwaniu rajców miasta. Oto, kiedy Stanisław Skarbek zapytał, co miasto wybierze: czy skierowanie koryta Dniestru przez miasto, czy teatr? — wybrano teatr, bo działało się to w czasie największego ucisku, kiedy głośnie polskie słowo było nade wszystko ważne.

Teraz idziemy ul. Wałową obok Arsenalu, Archiwum Akt Dawnych — mijamy kościół Dominikanów, ozdobiony kararyjskim marmurem, chlubiący się rzeźbą Thorwaldsona. Mijamy górujący nad Wałami Gubernatorski kościół

Karmelitów, gdzie jest cudowny Jezus, który nigdy nie odmawia proszącym.

Wspinając się w górę, wchodzimy na Wysoki Zamek. Kroczymy wśród starych drzew, które pamiętają wiele, które z wysokości swoich koron patrzyły na Lwów, gdy bywał w niebezpieczeństwie i gdy odnosił triumfy. Tymi oto drózkami chodził Franciszek Smolka, nie tylko piękny wąż, ale chluba i godność miasta — aby wozid taczkami ziemię na usypanie kopca Unii Lubelskiej. Cokolwiek potem było między dwoma bratnimi narodami, kopiec ten zawsze świadczyć będzie o polskiej dobrej woli, aby żyć w zgodzie i braterstwie, aby nie dzielić, lecz łączyć to, co dzieje i ziemia złączyły.

I my przystąpimy na chwilę na tym wzgórk, górującym nad miastem. We mgle jawi się nam impresjonistyczny obraz, barwiony liliowymi smugami. Z tej panoramy miasta, wyłowimy szczyty kościołów, wyniosłe gmachy, kominy fabryk i puszystą zielen parków. Widzę — Katedrę Wołoską, ufundowaną przez bojarów wołoskich dla swoich ziomków, Lwów był bowiem imperium handlowym na szlakach łączących Wschód z Zachodem. Widzę Świętojurską Katedrę, bielejącą na wzgórze. W głównym ołtarzu katedry znajduje się Chrystus roboty polskiego malarza z czasów Stanisława Augusta — Smuglewicza. — A kto ma orli wzrok, sięgnie w głąb uliczek starego miasta, aby wyłowić cud Lwowa — Katedrę Ormiańską. Stąd, kto zna Lwów — wskaże bez omyłki, gdzie znajduje się Główny Dworzec, pamiętny z dni obrony Lwowa; odnajdzie Szkołę Sienkiewicz, w której stała załoga nieliczna garstka pierwszych obrońców Lwowa; Szkoła M. Magdaleny, odznaczona krzyżem walecznych, Poczta Główna znana jako reduta Piłsudskiego, spalona w czasie walk polsko-ukraińskich, następnie odbudowana, ozdobiona krzyżem walecznych — obecnie znowu spalona w czasie walk sowiecko-niemieckich. Obok poczty — Ossolineum, gmach projektu gen. Józefa Bema, skarbiec dzieł kultury polskiej i muzealnych zbiorów.

Ileż to uzbierał Lwów! Księgozbiory Ossolineum, Biblioteki Uniwersyteckiej, Biblioteki Baworowskich, Dzieduszyckich. Muzeum króla Jana III, Muzeum Orzechowicza, etnograficzne, zawierające największy zbiór haftów ludowych (5 tysięcy sztuk), Muzeum Przemysłowe słynne

z pięknych zbiorów szkła i porcelany. Galeria Obrony Miasta Lwowa, powstała dzięki staraniom nie zapomnianego prezydenta Tadeusza Rutowskiego — prócz wielu arcydzieł sztuki obcej i naszej mieści wśród swoich zbiorów „Wojnę” Grotgera.

Odbiważy wędrowkę po muzeach, odciskamy pachnącym powietrzem parku Kilińskiego. Po falistych drogach i ścieżkach biega dzieci w przejrystej ranki, emeryci, krusząc prele, karmią wróble i złote ryby w sadzawce, a w czerwcowe i lipcowe wieczory krążą zakochane pary wśród czarownego tańca świętojańskich robaczek. Kiliński, nie słuchając tanga z pobliskiej restauracji, ciągle wzmieszoną szablą broni dzieci i starców i miłość młodych przed zapomnieniem o tym, co jest ważniejsze od młodości, miłości i śmierci.

Kiedy jesienne słońce toczy się po lwowskim niebie, wielki zgłęb panuje na Placu Targów Wschodnich. Wszystko, co wytwarza polski przemysł, czym zapelniał rynek polski handel, występowało tu w odświętnej szacie. Strójne kioski nawoływały reklamą, a kto chciał na chwilę uciec od businessu, spieszył pod kłosz Panoramy Racławickiej, gdzie kosynierzy Kościuszki gromią carskich jeźdźców.

Niedawna karta dziejów pisana jest na lwowskim Campo Santo... W innej stronie miasta, na Łyczakowie, rozstawionym swoistą gwarą i pieśnią — spoczęli ci, którzy zasłużyli na miano „Orlą”. Długie szeregi krzyży stoją ciągle jakby w szyku bojowym, przypominając miastu, że wczoraj i dziś zdobyło sobie przydomek: „Semper fidelis.” Bo i dziś, kiedy pójdziesz na inne przedmieście Lwowa, na tak samo brawurową pieśnią wstawiony Zamarstynów, kiedy staniesz tam o zmierzchu pod murami więzienia, zda się usłyszysz jęk katowanych i męczonych za to, że wierni byli Ojczyźnie i wierni swojemu miastu.

Wierni... Ciągłe powtarzamy to słowo w odniesieniu do Lwowa, do całych kresów wschodnich. Bo słowo to określa wszystko: i pracę kulturalną i bojową gotowość i bujność polskiego życia i mnogość polskiej krwi przeleanej na murach, wałach, barykadach miasta. Obronne, czy otwarte — stawało miasto w każdej potrzebie dla Polski, z Polską, przy Niej i w granicach Jej nieodzowne. Nie oddamy Lwowa, ale i Lwów nie pozwoli się oddać!

B. W.

PIĘKNO W PROSTOCIE

Obrazy utrwalone na kliszy pamięci zjawiają się w naszej świadomości w różnej postaci, zależnie od składników uczuciowych wywoływacza wspomnień. Jedne są jasne, ciepłe w tonie i harmonijne w rysunku i nawet nie przywoływane zjawiają się chętnie w polu widzenia naszej pamięci. Inne, ostre i ciemne, głęboko kryją się poza progiem świadomości, inne jeszcze są szare, jak notatka zwyczajnej codzienności.

* * *

Młoda kolonia domków na ul. Czeresniowej we Lwowie tonie w kwiecie sadów. Chodzi się po jej uliczkach z wiosną lwowską pod rękę, a zza ogródków kwiatowych dochodzi cichy refleks życia ich mieszkańców i zlewa się z nastrojem ulicy, pachnącej kwiatem czereśni i malowanej sylwetkami

roześmianych drobnych istot dziecięcych.

W jednym z takich domków mieszka dr Stanisława Duczumińska. Częściej niż gdzie indziej stuka tu furtka, odzywa się dzwonek, a po schodach stara służąca prowadzi codziennie wiele kobiet do małego pokoiku przyjąć. Przychozą do niej wszystkie z bogatych i skromnych dzielnic Lwowa, nie tylko dlatego, że „dr Stasia” jest lekarzem wybitnym o wielkiej wiedzy i długiej, wszechstronnej praktyce lekarskiej, którą zdobyła na klinice uniwersyteckiej poprzez ogromny zasięg pacjentów prywatnych i w bezpłatnej poradni dla matek. Nie tylko dlatego odwiedzają pacjentki ten pokój tak tłumnie, że jest jednym z najpopularniejszych lekarzy Lwowa, ale przede wszystkim sprowadza je tutaj wielkie zaufanie do lekarza-kobiety o jasnym umyśle, prawym

charakterze i wielkiej dobroci serca. Metodą przyrodniczą bada dr Duczyńska zjawiska i przyczyny chorób, a intuicyjnym sercem przenika i rozjaśnia tajemice i ciemnice życia fizycznego i psychicznego kobiet. dobrą radą prostuje ich ścieżki życia tak, że wracają z jej gabinetu do domu spokojniejsze, pokrzepione wolą radości. Bo dr Stasia jest w całym swoim życiu i istocie przede wszystkim pełną kobietą. Nie pomniejsza jej to wcale, przeciwnie podnosi jej wartość przez łączenie rozległej wiedzy lekarskiej z nadzwyczajną prostotą i skromnością w obęjsiu i wrażliwą uczuciowością. Harmonijny układ jej psychiki stwierdza raz jeszcze tę prawdę, że prawdziwa wiedza i piękno ujawniają się w prostocie. Taką ją znają, kochają i szanują uczeni i prości, biedni i bogaci mieszkańcy jej drogiego nade wszystko miasta.

Jednego strasznego dnia zniknął na długo uśmiech Lwowa. Okna domków ul. Czereśniowej patrzą odtąd pustką swych kwadratowych oczu na zalęknioną ulicę i czekają tych, którzy stąd z woli barbarzyńców-najeźdźców odeszli.

Na stepach Kazachstanu poznaje dr Duczyńska samo dno życia zsyłki. Poniżenie humanistycznej wartości w nienawistnej reakcji na ludzi z Zachodu — nigdzie nie było tak wyraźne, jak tam. Brygadierzy pracy doznawali dziwnej radości i afirmacji swego istnienia, zubożalego o wszystko co ludzkie, gdy kazali jej — znakomitej lekarce — paść byki na stepie, zbierać siano, albo lepić kostki gnoju na opał. Ale sława jej wiedzy lekarskiej rozeszła się i tu szybko i została pojęta przez lud tubylczy jako siła cudotwórcza uzdrawiania, z dawien dawna czczona na Wschodzie. Dr Stasia leczy swoich i obcych i do dziś jest na pewno przez Kazałów wspominane jej imię wdzięcznymi ustami. W pełnieniu obowiązków lekarza żyje na tej wolnej zsyłce dr Stasia w obcości ogromnej, bez powszedniego chleba pociechy, pełna tęsknoty ściśniętej w głębi serca nakazem obowiązku pracy, tęsknoty za umiłowanym mężem, domem i miastem.

Od r. 1942 jest dr Stasia wpośród nas w mundurze ochotniczki. Jej niska, pochylona sylwetka z zatroskanymi

niebieskimi oczyma dobrze jest znana wszystkim chorym żołnierzom. Nie ustaje ani na chwilę w drodze na twardej ścieżce swego lekarskiego zawodu. W Jangi-Jul, — miejscu postoju Armii Polskiej w Z.S.R.R., — pieszo wędruje kilometrami do ośrodków życia cywilnej ludności, która codziennie z północnych stepów Sybiru zjeżdża tu pod skrzydła opiekuńcze armii w strasliwym stanie swego fizycznego wyczerpania. Teraz w nowych skupieniach Polaków, przybyłych z całej przestrzeni północnej Rosji, ogląda dr Stasia ogromne spustoszenia, jakie w organizmach polskich dokonało życie więzienne i na wolnej zsyłce w tym państwie. Epidemia tyfusu, malaria, pelagra, szkorbut i gruźlica panuje w namiotach żołnierzy i w mieszkaniach ludności cywilnej.

Dni i noce dr Stasi streszczają się w czuwaniu nad chorymi. Wzywają ją też Uzbegy do swoich lepierek i wyrażają jej podziękę w obcej mowie i w mimice twarzy i rąk. Zachowują tam pamięć o bezinteresownej dobroci lekarki-Polki dla obcego dzielnego ludu górskiego, który podobny jest do nas przez nienawiść niewoli i wieczne umiowanie swobody i wolności.

W Teheranie pełni dr Stasia służbę w szpitalu cywilnym, w oddziale chorób kobiecych. Na Pustyni Irackiej jest lekarzem P. S. K., a potem w Palestynie lekarzem w Szkole Młodszych Ochotniczek. Tu rozważa problem zdrowia i higienę psychiczną i fizyczną dziewcząt, wychowujących się w zupełnie nowych warunkach, jakimi są „ramy wojskowej szkoły dla dziewcząt”. Jako lekarz-wychowawca wyraża przekonanie, że pełnego zdrowego człowieka wychowuje obcowanie i zbliżenie się do świata zjawisk przyrodniczych i ukochanie każdej formy życia na ziemi. Ten idealizm, wyniesiony ze studiów i zamilowań do nauk przyrodniczych, łączy się w duszy dr Duczyńskiej z dziedzina przeżyć i głębokich odczuwań religijnych.

Dziś znowu na nowym m. p. w białym chałacie lekarki pełni swą odpowiedzialną pracę z prawdziwą miłością bliźniego, jako służbę dla Polski, w którą wierzy i kocha jak najwyższe wcielenie życia na ziemi.

Lwowianki



Cmentarz Obrońców
Lwowa

Pozostań przy mnie

To było wczoraj, pewnie dzisiaj będzie,
I jutro przyjdzie, jak co noc we śnie,
Świat cały stanie w rozszalałym pędzie,
Staną godziny, minuty i dni...
Myśl moja zgaśnie, jak nad ranem gwiazda
Noc mi odbierze nerwy, wzrok i słuch...
Sen mnie poniesie do mojego gniazda,
W najdroższą wizję wpatrzy się mój duch...

Idę przez miasto — mój Lwów jeszcze śpi,
Jest dziwnie szaro... mgła jesienna pada...
Nad Zamkiem pierwsze słońce krwawo tli,
Bernardyn rannym dzwonem się rozgadał,
Idę przez miasto, postać Wieszcza witam —
Mickiewicz głowę jeszcze wyżej wznosi,
Może o wyrok Najwyższego pyta,
Może o Polski wybawienie prosi.
Idę przez miasto — Trzeciemu Janowi
Korny mój pokłon składam przed cokołem:
Pamiętasz Królu tany w Jaworowie?
I na Zniesieniu taniec Twój z Mongolem?
Idę przez miasto — jedyne na świecie.
A idę z trudem — słyszę własny krok...
Już w Parku Stryjskim z drzewa liście leci,

To już jest jesień — to już inny rok.
Idę przez miasto — coraz śpieszej, śpieszej,
By mi nie zbladło, nie przepadło w mgłę:
„Pozostań przy mnie — to jeszcze ja wieszam,
Uwierz mi Lwowie... że bez Ciebie głę”
Idę przez miasto, mijam zieleń parków,
Ogrody, domki i Łyczaków nasz,
Łzy moje niosę Orłętom w podarku
Na Ich Cmentarzyk — i pudam na twarz.

Idę przez miasto — mój Lwów jeszcze śpi...
Wyjdę na Zamek wysoko... zawołam —
Może się zbudzi i odpowie mi...
Jeszcze nie pora. Cisza dookoła —

Stoję wysoko — miasto mgła zasnuwa
Jeszcze nie wierzę. Myśl się jeszcze ludzi...
W kamienną wizję mój Lwów się zakuwa —
Ale gdy przyjdzie pora — Lwów się zbudzi.

To było wczoraj, pewnie dzisiaj będzie,
I jutro przyjdzie... mój wzrok Wam to powie,
Świat się zatrzymał w rozszalałym pędzie:
Byłem we Lwowie...

Wiktoria Budzyńska

Czyn Ludu Śląskiego

W myśl traktatu wersalskiego o losie Górnego Śląska zdecydować miał plebiscyt. Do głosowania dopuszczono również osoby przebywające poza Śląskiem, lecz na Śląsku urodzone. Te głosy emigranckie, głosy ludzi, którzy w ogromnym procencie zerwali wszelki kontakt z terenem plebiscytowym, miały przypaść nieomal w całości stronie niemieckiej. Wiedzano, że przeprowadzenie plebiscytu na terenie, na którym za wyjątkiem Międzysojuszniczej Komisji w Opolu i jej skromnego aparatu kontrolnego w siedzibach miast powiatowych — cała administracja państwowa i samorządowa spoczywała w rękach niemieckich, nie może dać wyniku obiektywnego. Komisja Międzysojusznicza, w skład której wchodziła przedstawiciel Francji, Anglii i Włoch miała w myśl traktatu wersalskiego za zadanie: obiektywne przeprowadzenie powszechnego głosowania i zarządzenie terenem plebiscytowym aż do chwili zdecydowania o losach Śląska przez Ligę Narodów, wzgl. Radę Ambasadorów. Dużo objawów wskazywało na to, że na losy Śląska wpłynąć mogą w wyższym stopniu zakulisowe machinacje międzynarodowego kapitału, zaangażowanego w ciężkim przemyśle górnośląskim a powiązanego misternymi nićmi z kapitałem niemieckim, aniżeli rzeczywista wola ludu.

Zrozumiałem więc było, że w takim stanie rzeczy obok

żywej i wszechstronnej działalności oficjalnej reprezentacji interesów Polski w postaci Polskiego Komisarzatu Plebiscytowego z siedzibą w Bytomiu z Wojciechem Korfantyńskim na czele — rozwijać się musiała działalność Polskiej Organizacji Wojskowej (w poszczególnych fazach rozwojowych, rozmaicie nazywanej), a której czołowym organizatorem był Michał Grażyński (pseudonim — Borelowski). Cel działalności P.O.W. był jasny: Przygotowanie walki zbrojnej o wyzwolenie Górnego Śląska na wypadek, gdyby w wyniku plebiscytu, który w tak niekorzystnych dla nas warunkach miał być przeprowadzony, Górny Śląsk został przyznany Niemcom. Wierzyliśmy, że plebiscyt krwi będzie dla nas sprawiedliwszy od plebiscytu kartkowego.

Dnia 20 marca 1921 r. przeprowadzono głosowanie powszechne na całym terenie Górnego Śląska (z wyłączeniem tylko Nyssy, Niemodlina i Grotkowa). Za Niemcami wypowiedziało się 524.450 głosów śląskich oraz ponad 180.000 głosów emigranckich, razem około 706.000, za Polską 469.000 głosów śląskich oraz około 10.000 emigranckich. W szeregu powiatów na prawym brzegu Odry przewaga elementu polskiego okazała się przygniatająca. Absolutną większość głosów na całym terenie plebiscytowym skupili jednak Niemcy, przygotowujący się do akcji tej w optymalnych dla nich warunkach (administracja niemie-

cka, emigranci, przyłączenie do terenu plebiscytowego kilku bardzo silnie niemczonych powiatów, terror bojówek niemieckich, wreszcie przychylna postawa dwu mocarstw alianckich, wchodzących w skład Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej na Górnym Śląsku i ogromny nacisk gospodarczy i personalny ciężkiego przemysłu).

Gdy nadeszła na Górny Śląsk wiadomość, że Najwyższej Radzie Koalicyjnej przedłożony został projekt takiego podziału Górnego Śląska, iż Polsce przypaść miały tylko dwa powiaty tj. pszczyński i rybnicki oraz drobna część powiatu katowickiego — dla Organizacji Wojskowej jasnym się stało, że nadszedł moment wyjścia z podziemi, że wolność Śląska trzeba zdobywać krwią.

Organizacja Wojskowa rzetelnie pracowała w międzyczasie nad tym, by przewidywana przez nią ofiara krwi powstańczej nie była daremną. Ze skromnych ram powstałych po pierwszym i drugim powstaniu (1919 i 1920 r.), poprzez skupianie członków systemem dziesiątkowym przeszła organizacja do tworzenia formacji wojskowych: plutonów, kompanii, baonów, pułków. Prowadzili je w roboczych bluzach górnicy, hutnicy i chłopi śląscy. Zaprzysięgli wówczas Polsce wierność i życie; przysięgi nie złamali nigdy i wiemy, że jej nie złamają! Polska warstwa inteligencka na Śląsku była naonczas niestety jeszcze niezmiernie cienka, nieliczna, wszyscy inteligenci śląscy byli zaangażowani w robocie Polskiego Komisariatu Plebiscytowego lub w P.O.W., a często w obu organizacjach równocześnie, ich praca i zasługa narodowa były ogromne. Szeregowym i dowódcą organizacji wojskowej był jednak w zdecydowanej przewadze robotnik i chłop śląski. A stało się go do apelu w pierwszym dniu trzeciego powstania, w tę naprawdę wspaniałą trzociomajową noc przeszło 40.000! Stali starzy i młodzi, synowie obok ojców, wszyscy opętani pragnieniem powrotu Śląska do Polskiej Macierzy — po przeszło sześciowiekowej z nią rozłące.

Jako dzień wybuchu trzeciego powstania śląskiego wyznaczony został przez Naczelną Komendę Wojsk Powstańczych dzień rocznicy konstytucji 3 maja, obchodzonej na Górnym Śląsku tradycyjnie niezwykle uroczystie. Symbolika dat nie była przypadkowa. W erze konstytucji 3. maja lud polski zaczyna — nieśmiało jeszcze — stawiać pierwsze, nieśmiałe kroki na powierzchni polskiego życia jeszcze nie politycznego, lecz społecznego, około 130 lat później w trzecim powstaniu śląskim już dźwiga na barkach swoich największy ciężar odpowiedzialności, ale też największą zasługę za wyzwolenie części ziemi śląskiej, za oparcie się Polski — chociaż na małym skrawku tylko — o Odrę, za istotne wzmocnienie podstaw naszej niezależności gospodarczej!

Trzecie powstanie śląskie było największym ludowym ruchem wolnościowym na przestrzeni dziejów naszych walk niepodległościowych. Ten ludowy, powszechny charakter tego powstania jest jedną z najistotniejszych a zarazem najgłębiej wzruszających jego cech, odróżniających powstanie śląskie od poprzednich powstań polskich z XIX wieku.

Plan operacyjny Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych przewidywał uderzenie w kierunku linii Odry trzema

grupami: grupą „południową”, grupą „wschód” oraz grupą „północną”.

Grupa „Południowa” — z dowódcą Cietrzew — Sikorskim i szefem sztabu Grześkowiakiem, obejmowała powiaty pszczyński, rybnicki i raciborski. Miejsce postoju sztabu tej grupy znajdowało się w Jastrzębiu-Zdroju, a następnie w Wielkich Rudach.

Grupa „Wschód” — z dowódcą Karolem Grzesikiem i szefem sztabu Michałem Grażyńskim, obejmowała zagłębie przemysłowe z miejscem postoju dowództwa w Bańgowie, a następnie w Bielszowicach.

Grupa „Północna” — z dowódcą Nowakiem i szefem sztabu Janem Wyględą, obejmowała powiaty Tarnowskie Góry, Lubliniec, Oleśno, Opole i Kluczborg z miejscem postoju sztabu w Tworogu.

Wydział Wykonawczy Naczelnej Władzy z Wojciechem Korfantym na czele oraz Naczelna Komenda Wojsk Powstańczych z Doliwą Nowiną tj. Maciejem Mielżyńskim jako Naczelnym Dowódcą i Stanisławem Lubieńcem recte Rostworowskim jako szefem sztabu — urzędowały w Jastrzębiu, później w Szopienicach. Zakreślone planem operacyjnym zadania zostały przez wszystkie trzy grupy wykonane.

W pierwszym dniu znakomita powstańcza grupa destrukcyjna Wawelberga — Puszczyńskiego zniszczyła najważniejsze mosty na Odrze od granicy czeskiej po Opole, a grupy operacyjne zajęły miasta: Pszczynę, Rybnik, Bytom, Katowice, Tarnowskie Góry, Wielkie Strzelce i Lubliniec. W trzecim dniu oddziały powstańcze stanęły nad Odrą, a 6 maja opanowany został wzdłuż Odry wielki odcinek od Olzy po Koźle, z tym, że dalsza linia frontu biegła na Wielkie Strzelce, Zębówice i Wielkie Borki. Szczególnie trudną pozycję miała grupa „Wschód” operująca w okręgu przemysłowym, w rejonie największych skupień miejskich jak Katowice, Bytom, Gliwice, Zabrze. W miastach tych były załogi wojsk koalicyjnych, podlegające Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej w Opolu, a składające się z oddziałów francuskich, angielskich i włoskich. Po zajęciu tych miast (za wyjątkiem Gliwic) trzeba było, celem uniknięcia otwartego konfliktu z załogami koalicyjnymi, z miast tych częściowo się wycofać i ograniczyć się do ich cernowania; zamknęliśmy w nich wprawdzie liczne szturmowe oddziały niemieckie, jednak równocześnie uwięziliśmy wokół tych miast pokaźną ilość wojska powstańczego, potrzebnego coraz więcej na froncie odrzańskim. Mimo to dynamika i rozmach akcji nie traciły na sile. Zwycięska krwawa walka o Kędzierzyn, bitwa o Górę św. Anny pozostaną na zawsze wspaniałymi pomnikami bitności, odwagi i ofiarności powstańca śląskiego. Zresztą nie tylko Kędzierzyn i Góra św. Anny! Krwawe walki pod Wodzisławiem i Czerwionką na terenie grupy południowej, która poza Niemcami bić się musiała z oddziałem włoskim, bitwa o Dobrodzień i Oleśno na terenie grupy północnej i długi szereg walk i potyczek na innych punktach całego frontu powstańczego, wreszcie 2.500 zabitych i ciężko rannych powstańców — oto niepośledni wkład trzeciego powstania śląskiego do dziejów polskiego oręża, do dziejów walk o wolność Polski i o właściwą dla niej pozycję w Europie.

Pierwszy i główny etap trzeciego powstania zakończył się 9 maja zajęciem, po ciężkiej walce, ważnego węzła kolejowego Kędzierzyna. Już 10 maja Komisja Międzysojusznicza wystąpiła z propozycją linii demarkacyjnej, którą miałyby obie strony walczyć respektować do chwili wydania przez dyplomatów dalszej, względnie ostatecznej decyzji w sprawie losów Górnego Śląska. Naczelna Komenda Wojsk Powstańczych i Wydział Wykonawczy Naczelnej Władzy na Górnym Śląsku (ośrodek polskiej dyspozycji politycznej) skłonne były stanąć na gruncie projektowanej linii demarkacyjnej; cóż, kiedy Niemcy swoim zwyczajem krótki okres rokowań wykorzystali do ściągnięcia na linię frontu znacznych posiłków z głębi Rzeszy — i walka szła dalej. Weszliśmy w drugie stadium powstania, nacechowane ogromną przewagą liczebną wroga, który obok dotychczasowej organizacji „Selbstschutz” dysponował zarówno pomocą Reichswehry, jak też formacją pod nazwą „Freikorps Oberland”, która w międzyczasie zjawiała się na terenie Śląska. 21 maja zreorganizowane siły niemieckie przeszły do silnego ataku na odcinku Gogolina, spotykając się jednak znowu ze zdecydowanym i zwycięskim oporem wojsk powstańczych, których zapal do walki przetrwał nieugięty do chwili, kiedy w wyniku ponownej inicjatywy Komisji Międzysojuszniczej doszło w drugiej połowie czerwca do likwidacji powstania. Obie strony zgodziły się wycofać swe oddziały z linii frontu, a w ich miejsce wkroczyły w ustalonych terminach na dotychczasowy teren walki wojska koalicyjne. Proces ewakuacji terenu plebiscytowego przez oddziały polskie i niemieckie miał być zakończony 5 lipca 1921 roku.

Pełni niepokoju o dalszy los ziemi śląskiej — powstańcy usłuchali rozkazu swej władzy i schodzili z placu boju, nie żywili też oni specjalnej ufności, że w wyniku przetargów dyplomatycznych powziętą zostanie w sprawie Śląska decyzja sprawiedliwa. Szli powstańcy do boju z hasłem przekreślenia zamiaru Rady Najwyższej oddania Polsce tylko dwu powiatów śląskich — a zarazem z hasłem zdobycia dla Polski Górnego Śląska w całości.

Hasło pierwsze zostało zrealizowane! Pierwotny, brutalnie nas krzywdzący plan podziału Śląska został zaniechany. Dyplomacja koalicyjna nie miała już odwagi do podtrzymania projektu, tak rażąco lekceważącego interesy polskiej ludności górnośląskiej. Krew ludności nie została przelaną daremnie. Gdy 12 października 1921 roku Liga Narodów podejmowała swą uchwałę w sprawie podziału Górnego Śląska — a 20 października Rada Ambasadorów formalnie ją akceptowała — przyznano nam poza powiatami pszczyńskim i rybnickim cały powiat katowicki i części powiatów gliwickiego, zabrskiego, raciborskiego, tarnowskiego — górskiego i lublinieckiego. Około 900.000 Polaków i Polek wróciło na łono Ojczyzny, a gospodarstwo polskie wzbogacone zostało o znaczny potencjał przyznanej nam części zagłębia przemysłowego. Na małym skrawku oparliśmy się o Odrę.

Nie zdołało trzecie powstanie zrealizować drugiego hasła, tj. zdobycia dla Polski całości Górnego Śląska. Nie wróciło do Polski Opole, nie wróciły Racibórz, Wielkie Strzelce i Zabrze i piękny Bytom, a co najważniejsze — 600

do 800.000 z krwi i kości Polaków i Polek, narazonych odtąd na spotęgwaną tempo polityki germanizacyjnej i eksterminacyjnej.

Nie byliśmy po prostu wówczas dość silni, by w pełni zrealizować słuszne nasze roszczenia terytorialne. — Władza, że również część zwycięzców Wielkiej Wojny nieufnie i niechętnie wtedy spoglądała na nasze rewindykacje zachodnie.

Nie znaczy to, byśmy proces o te rewindykacje uważali decyzją Ligi Narodów czy Rady Ambasadorów za zakończony. Konieczność istotnego wzmocnienia naszego stanu posiadania na zachodzie — tkwiła już wtedy głęboko w świadomości narodu polskiego, który zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że rejestr głównych strat i zaniedbań historycznych — zaczęliśmy w XIV wieku, właśnie od Śląska.

Powstania polskie na naszych zachodnich granicach (śląskie i wielkopolskie) wykazały, że umieliśmy zdobyć się tam na dużą prężność, na wielki wysiłek organizacyjny i na niemiejszą ofiarność.

Na miesiąc przed wybuchem obecnej wojny byłem na ostatnim spośród licznych objazdów moich po środowiskach życia polskiego na Śląsku Opolskim. Zwidziłem — jak zwyczajnie — kilka cmentarzy wiejskich z grobami powstańców. Miejscowa ludność — nieznanymi rękami — otacza te groby najczulszą opieką. Napisy na skromnych nagrobkach nie mogły tam być wyraźne, — tu i ówdzie wyrzeźbione są słowa: „Zmarł, bo kochał swój kraj”, lub: „Odszedł od nas, bo gorąco umiłował Śląsk”.

Przeważnie wyrzeźbione są tylko polskie imiona i polskie, szczerze, jedne nazwiska oraz data (mierci: maj czy czerwiec 1921 roku — a wtedy przechodził już wiek, kogo ta ziemia przysługiwała).

W ziemi Opolszczyzny, pozostałej poza granicami Polski, wsiąkło wiele krwi powstańczej. Liczne są groby powstańców rozsiane po różnych cmentarzach tej ziemi. Pozostała tam tradycja walk wyzwoleniczych i potężniejsza jeszcze legenda.

I nie przedawniły się prawa nasze do tej wiernej ziemi i do rzeki, która przez nią płynie! Do rzeki, po której, gdy minie wojna już w pełnej swobodzie płynąć będziemy mogli pod polską banderą do polskiego wybrzeża Bałtyku!

Mieczysław Chmielewski

Módl się za nami,

Uświęcaj oręż,

Błogosław, Nieznany Żołnierzu,

Przyjdzie czas, gdy ciężar twej męki zmiarą,

Przyjdzie czas, gdy granice wytykać będą twoje kości,

O, Nieznany Żołnierzu,

O, Zaklęty w Prochy Świętości.

(z „Litani patriotycznej” W. Czerwińskiego)

KOBIETA ŚLĄSKA W POWSTANIU



Ślązaczki

Po dziś dzień wie Polska mało o udziale kobiet śląskich w akcji przygotowawczej P. O. W. i w powstaniach śląskich. Po raz pierwszy w historii polskiej wiejska kobieta i robotnica stanęły do pracy wojskowej. Pierwszy raz w historii polskiej kobiety w „kieckach” i chustkach na głowie zostały zorganizowane i zaprzysiężone.

Nie sporadyczne bohaterki więc, ale ciche, niedoceniane kobiety stanęły do pracy. Po robotach w polu, pracy w kopalni lub zająciach koło swojego drobiazgu w domu (Ślązaczka nie ma nigdy niżej sześciorga dzieci), znajdowały jeszcze czas na naukę na tajnych kursach sanitarnych. Uczyły się historii o kobiecie polskiej — od Chrzanowskiej i Emilii Plater do Obrończyń Lwowa i Wilna, do historii o bohaterskich kurierkach legionowych i wojny polsko-bolszewickiej. Słuchały z zapartym tchem słów młodziutkich studentek lwowskich i warszawskich, które przybyły do pracy plebiscytowej na Śląsk.

I tak powstały pierwsze komórki kobiece w P. O. W. na Śląsku. Pierwszą przysięgę odebrano uroczystie o szarym świcie na polach Szarleja-Piekar — latem 1920 r. A potem już wieś za wsią, powiat za powiatem.

Jakże wiele mogłabym powiedzieć o tych kobietach! Oto Maria, matka kilkorga dzieci, przewodnicząca Towarzystwa Polek w jednej z podmiejskich wsi, która wołała niecierpliwie się: — „Kiedy nareszcie wybuchnie powstanie? Abym zdążyła nim zlegnąć (była w szóstym miesiącu ciąży i nie miała czasu na długie czekanie) — bo jak Niemce obaczom ciężarną kobietę, to im na myśl nie przyjdzie, że mogą być kurierką i przeńde tam, gdzie każdą inną zatrzymają”. Maria nosiła więc w koszyku rewolwery, granaty, naboje — była przecież ciężarna i przez to niby bezpieczna.

A o tej Zofijce, starej, poważnej kobiecie, matce do-

rosłych synów-powstańców i zameżnej córki. Otoczona była Zofijka wzdargą całej wsi — wiadomo, szmuglerka! Z Polski szmugluje i to nie byle jak, ale całymi furami — gęsi, masło, białą mąkę, krupy i wurszt (kielbasę). Synowie zaś i zięć — powstańcy. Nie „gańbę” może ściga taka kobieta na wszystkich powstańców-„Poloków” i na wszystko, co polskie? Patrzyłam zawsze na nią z odrazą — cała wieś wskazywała na nią palcami, oburzona, zgorszona i — bezradna.

Aż — pewnego wieczoru w Sosnowcu na podwórzu koszar zobaczyłam furę, na którą ładowano broń. Na wierzech worki mąki, krup, gęsi, prosiaki, no i ulubiony przez Ślązaków „wurszt”. — Na koźle — czy mnie oczy nie mylą? — Na koźle siedzi stara Zofijka z córką i komenderuje: „Wy, synki, idźcie naprzód i nie kręćcie mi się za blisko woza, bo was batem dziela!” — Tak to przemawia do chłopaków z bojówki, którzy szli po dwóch, trzech, w pojedynkę za wozem i poprzedzając pojazd, jako ochrona transportu broni.

Tak pracowała „szmuglerka” Zofijka rok, dwa. Otoczona wzdargą sąsiadów i wsi okolicznych przez całe lata. Przecież Śląsk stał „na wulkanie” i nie wolno było mówić o tych sprawach. Po dziś dzień nie wolno mi napisać pełnego imienia i nazwiska, ni wsi, w której się rodziła, mieszkała i pracowała Zofijka.

Gdy do dalekich zachodnich połaci Śląska zaczęło dochodzić słowo polskie, gdy zaczęto urządzać pierwsze wiece i zebrania — musiano zawsze jako ochronę dla prelegentów i zebranych przysyłać bojówki z Bytomia, Katowic czy Zabrze. Tym to na zachodzie, nad Odrą, szli z pomocą Ślązacy wschodni, znad granic Polski. — W pociągach rewizje. Rewidują Francuzi, Włosi, Anglicy, czy czasem kto broni nie wiezie. Przy alianckim żołnierzu do asysty policjant niemiecki. Rewiduje się każdego mężczyznę, bada dokumenty (wystawiane przez miejscowe władze, a więc niemieckie). Rewiduje się, bo przecież na ziemi, na której ma się odbyć „wolny” plebiscyt, musi być spokój, aby ludność „bez terroru” — mogła głosować.

Więc Niemcy polskie rozbijają wiece i zebrania, a broń się nie wolno. Wtedy młode dziewczęta, często kilkunastoletnie, jadą z chłopakami, ale w innym przedziale, a nawet bywa, że innym pociągiem i w koszykach, walizkach mają pochowane rewolwery. Kobiet się nie rewiduje, a zresztą nie przyszłoby to na myśl Niemcom, że kobiety śląskie nie cofną się przed niczym, byle służyć swej ziemi.

Gdy wybucha III powstanie śląskie — Ślązaczki organizują pracę w szpitalach i na punktach sanitarnych. Idą z oddziałami jako sanitariuszki na front, aż hen po Odrę. Obejmują służbę telegrafistek i telefonistek; po to przecież przechodziły przeszkolenie. Spotkasz je w biurach wojskowych jako urzędniczki czy sprzątaczkę. Zobacysz je w swoich i sąsiednich wsiach. Gotują strawę, wydają jedzenie, prowadzą kantyny na dworcach, nawet robią zakupy, choć dział ten kurczowo trzymają w swych rękach miejscowe kacyki.

Dziewczęta z powiatów — Bytom, Katowice, Zabrze,

Gliwice-Torzek — obsadzają szpitale w Kędzierzynie. Po kompaniach, baonach pracują jako pomocnice starych, wykwalifikowanych sanitariuszy jeszcze z wojska pruskiego — dziś dzie — i w Leśnicy, choć artyleria niemiecka z Góry św. Porcie Kozielskim. — Po zwycięskim powstaniu wracają do swoich domostw, aby gotować strawę, prac, szorować, wychowywać dzieci. Przecież są kobietami i ich najważniejszym obowiązkiem jest wychować dobrze nowe, zdrowe pokolenie.

Pokolenie — na które spadły nowe klęski i zawody, ale które nieugięte, zahartowane, zdolne do każdej ofiary, stało do czynu. Pokolenie, które znów zmagają się o prawo do życia w wolnej Ojczyźnie.

Barbórka ze Śląska

„BARBÓRKA”

Powrót swój do Polskiej Macierzy w trzech przeciw ciemierzcom prowadzonych powstaniach, przypieczętował śląski lud obficie krwią, zaś w czasach pokojowych znoją i ofiarną pracą współdziałał w rozbudowie naszej państwowości.

Dziś lud ten razem z nami od nowa przeżywa tragedię Polski, a zalany hordami okupantów i gestapowych siepaczy, płaci obfitą daninę krwi serdecznej za swą wierność i synowskie oddanie Ojczyźnie. Mnogo synów tej ziemi pełni zaszczytną służbę w szeregach naszej armii i z utęsknieniem oczekuje chwili, kiedy pracą zaczną germańskiego najeźdźcę i przyczyni się do oswobodzenia polskiej ziemi i jej obywateli.

Czwarty grudnia — to dzień św. Barbary, Panny i Męczenniczki. Święci go od niepamiętnych czasów szczególnie uroczystie górnik śląski, składając w dzień ten głęboką cześć i wdzięczność patronce swojej i orędownicze za to, że ochroniła go ona w ciągu całego roku podczas ciężkiej pracy w podziemnych sztolniach od wszelkich niebezpieczeństw i złych przygód. Ustawiał w tym dniu wszelaki ruch na licznych kopalniach węgla i kruszcu, których szyby ciągną się od Katowic poprzez Zabrze, Chorzów, Szarlej, Mikołów, Rybnik i Pszczynę, aż hen po Karwinę. A z wież tych szybów powiewały barwne polskie chorągwie i sztandary.

W przeddzień „Barbórki” panował w domach górniczych ruch niebywały. Gosposie piekły świąteczne kołaczki oraz przystrajały w zieleń wizerunek świętej, zcobiły ściany.

Ojciec-rębacz i syn jego pomocnik, zwany „ładowaczem” przysposabiają po szychcie swoje paradne mundury górnicze, czernią skórzane łaty i czyszczą metalowe guzy, kłamry u pasów, emblematy górniczego cechu na kołpakach oraz napełniają paliwem lampki, tak zwane „karbidki”. Zaś w kopalnianych „cechowniach” gromadzą się tego wieczoru dziewczęta, wiją wieńce i barwne girlandy, którymi ozdabiają znajdujące się tam ołtarzyki lub obrazy, wyobrażające świętą Barbarę. Przed tymi to wizerunkami modli się codziennie górnik, zanim opuści go winda w węglowe podziemie.

Śląskie dziewoje urozmaicają sobie pracę opowiadaniem licznych legend o cudach Świętej i Możej Panny, a także o niesamowitych przygodach górniczych swoich ojców i braci, kiedy to niespodziewanie spotykali się z panującym wszechwładnie w czarnych podziemiach duchem „Skarbni-kiem”. Kiedy wyczerpuje się temat, a grozą i lękiem prze-

pełnione są dziewcząt serduszka, wtedy rozbrzmiewa piękna i kojąca lęk piosenka. Oto jedna z wielu:

*Zachodzi słoneczko na rogu kościoła,
Powiedz mi kochanko, powiedz mi kochanko,
Czy ty będziesz moja?*

*Powiedz mi na razie, czy ty będziesz moja?
Niech moje konisie, niech moje konisie
Nie stoją na mrozie.*

*Bo moje konisie talary kosztują,
Jak jadę do ciebie, jak jadę do ciebie
Podkówek się psują.*

*Psują się podkówki, koła się zdzierają,
I moje koniki i moje koniki
Tyż mnie wyśmiewają.*

*Jak moją nie chcesz być, ciężko mi będzie żyć,
Abo się utopię, abo się zabiję,
Abo tyż upiję!*

Nazajutrz z rana, w dzień święty, rozlegają się dzwony miejscowego kościoła, zwołujące górniczą brać na uroczystą sumę. I wyrusza niezadługo z kopalni cechowni (miejsca zbiórki) strojna i buńczuczna kawalkada sztygarów, rębaczów, ładowaczów i wszelakich innych pracowników górniczego cechu — ze sztandarami i górniczą kapelą na czele. Zdążają do kościoła, gdzie patronce swojej złożą cześć i wdzięcznością przepelnioną modlitwę.

Po nabożeństwie następuje powrót na kopalnię. Tu w przystrojonej w festony i emblematy cechowni czeka przybyłych biesiada. Zanim jednak zasiądą do suto zastawionych stołów, gromadzą się, jak zwyczaj każe, przed wizerunkiem św. Barbórki, umieszczonym w ołtarzyku i z przejęciem odśpiewują pieśń ku czci górniczej patronki:

*Świętej Barbórki my wierne dzieci,
W ciemnych podziemiach spędzamy czas,
Nie dla nas słonko wesolo świeci,
Święta Barbórko wspomagaj nas.*

*My śląskiej ziemi górniczy wierni
Dla chwały Boga pracujem wraz,
Broń od zagłady i pracy cierni,
Święta Barbórko, wspomagaj nas.*

Po tej wzniosłej, tradycyjnej introdukcji, rozpoczyna się uczta. Honorowe miejsca za stołem zajmuje oczywiście starszyzna. Po pięknym i patriotycznym przemówieniu najstarszego rangą zwierzchnika, popisują się swadą także i inni z biesiadników, którzy przy dobrej szklenie „tychowskiego piwa” wygłaszają uciężne, pełne humoru filipiki i improwizacje. Rozbrzmiewają toasty na cześć Ojczyzny i oddanej dla niej pracy, a górnicze „Szczęść Boże” — kończy biesiadę.

Teraz usługne ręce usuwają stoły i ławy, po czym chór i kapela siarczystym „trojakiem” rozpoczyna taneczną zabawę:

Zasioli górole owies, owies —

Od końca do końca, tak jest, tak jest.

Zasioli górole żytko, żytko —

Od końca do końca, wszystko, wszystko.

*A mam ci jo mendelicek w doma dwa, w doma dwa.
U sąsiada śwarnych dziolch jest gromada, gromada.*

Zasioli górole owies, owies —

Od końca do końca, tak jest, tak jest.

Zasioli górole żytko, żytko —

Od końca do końca wszystko, wszystko.

*A mam ci jo trzy mendele w doma dwa, w doma dwa.
Żodno mi się nie podoba jeno ta, jeno ta.*

Po tym wstępie, górnicza kapela kolejno wycina skoczne „dzybki”, dostojne „obracane” i uczuciowe „waloszki” — a górnicza młodzież ze śwarnymi dziolchami do późna w noc zapamiętałe wirować będzie w barwnym tanecznym kole, nagradzając sobie w dzień „Barbórki” całoroczne, znojne i pełne niebezpieczeństw prace w podziemiach.

Tak było w wolnej Polsce — i da Bóg, że znów tak za niedługo będzie! „Szczęść Boże!”

Stanisław Ligoń



Kominy śląskie dymią

Kult Matki Boskiej w Polsce

*Niech Matka Boska, Królowa Korony
Polskiej, co w Ostrej świeci Bramie, ma
Was w Swej opiece i doprowadzi szczęśli-
wie przed Swoje Święte Oblicze!*

Naczelny Wódz
SOSNKOWSKI

gen. broni

Prześlicznie opisuje świątobliwy arcybiskup lwowski, Józef Bilczewski, w jednym ze swoich listów pasterskich, jak to po kilkuletnim trudzie misyjnym na Rusi — upracowany w winnicy Pańskiej, wielki apostoł polski, św. Jacek Odrowąż, wracał do Ojczyzny. Święty pracował wówczas w ubożuchnym kościółku Najświętszej Panny Maryji w Kijowie poza Dnieprem, przy którym osadził swoich braci dominikanów.

Pożegnawszy się z księciem Włodzimierzem, o świcie dnia następnego odprawił św. Jacek mszę św. pożegnalną. Jeszcze nie zdołał zdjąć z siebie szat kapłańskich, gdy o uszy jego odbił się przerażający krzyk i lament wraz z biciem dzwonów w świątyniach na trwogę. Na przedmieścia Kijowa wpadli Tatarzy, którzy idąc szerokim szlakiem od Wschodu, całą siłą uderzyli w bramy stolicy Rusi. Tabunem ogromnym, jak rozszalała burza, parła dzicz mongolska na ulice miasta, mordem i pożogą znacząc swój okrutny pochód.

Pierwsza myśl jaka powstała w głowie Świętego na wieść o zbliżających się Tatarach, to lęk o Najświętszy Sakrament. Puskę z Ciałem Pańskim zabierze ze sobą, ale co się stanie z posągami Maryji, który wraz z różańcem zawsze zabierał ze sobą, idąc na wschód i północ, Prusy i Pomorze, Małą i Wielką Ruś, aż po brzegi Morza Czarnego, astrachańskie i mongolskie stepy...

— Oni wpadną tutaj, strącą Cię z ołtarza i podepczą... — skarżył się jak dziecko swojej Matce najśladziej. Pewnie, krwią moją pragnąłbym Ciebie osłonić, ale cóż się stanie z Synem Twoim, jeśli go nie wyniosę z kościoła?

Tak żegnał się wielki sługa Maryji, zabierając Najświętszy Sakrament. Odchodząc od ołtarza, zwrócił swoje oczy ku posagowi w ołtarzu i słyszy głos:

— Syna mojego zabierasz, a mnie komu zostawiasz?

— Posąg Twój ciężki, Panienko Przeczysta — odpowiada z żalem święty Jacek.

— Nie lękaj się — mówi znowu Pani Anielska — weź mnie ze sobą, Syn mój ulży ci ciężaru.

Wspiął się więc Święty na ołtarz, ujął lewą ręką posąg alabastrowy, a zakryty cudownym obłokiem, tuląc do serca najdroższe skarby, wraz z braćmi i uczniami przeszedł Dniepr suchą nogą, kierując kroki swe ku Haliczowi.

Działo się to w pierwszej połowie XIII wieku.

„Weź mnie ze sobą” — na drogę swego życia dziejowego — „weź mnie ze sobą, a Syn mój ulży ci ciężaru...” Oto wezwanie Maryji do duszy narodu naszego, odkąd tylko chrzest przyjął. I wzięła Polska, jak św. Jacek w Kijowie, Maryję Niepokalaną, jako swoją Opiekunkę i Matkę narodu, który o świcie swego historycznego żywota, podobno przez usta swego wielkiego apostoła św. Wojciecha, pieśń

Jej śpiewał chwalebny „Bogurodzica Dziewica”... którą słusznie pacierzem polskim, hymnem ojczystym, pieśnią bojową oraz pierwszym pisanym prawem polskim nazwano.

Wielkimi czcicielami Maryji byli pierwsi apostołowie i nauczyciele Polaków, skoro według podań starodawnych, w granice ziem lechickich z pieśnią Jej na ustach wstępowała, a pierwszy kościół, jaki za sprawą księżnej Dąbrówki, matki chrześnej narodu, na ostrowiu Lednickiego Jeziora zbudowali, Niepokalanej i Wniebowziętej Bogurodzicy poświęcili, jakoby w przeczuciu, że odtąd wszystko w Polsce dziać się będzie pod znakiem Maryji.

Stąd też śmiało możemy twierdzić, że Ojczyzna nasza byt swój dziejowy od Imienia Maryji rozpoczęła, utwierdzając w ciągu wieków w narodzie wiarę, że Przeczysta Bogurodzica „która weszła w dzieje Polski i zaważnęła każdym sercem Sarmatów” nad ziemiami jej rządy miłościwie sprawia i cudowną swoją opieką otacza.

Cześć dla Niepokalanej Matki Zbawiciela, przenikała zawsze całe duchowe życie Polski dawnej i wzrastała nieustannie jak powiększały i rozszerzały się granice państwa i jego wpływy. Nic dziwnego, bo wielkich i świętych nauczycieli miał nasz naród: św. Wojciech, św. Stanisław Szczepanowski, bł. Bogumił, Iwo Odrowąż, Jakób Strępa, Kadłubek, Prandota, Wit, Hozjusz i wielu innych.

Biskupi polscy — toć to najstarsi i najwięksi czciciele Bogurodzicy, co przeszli tę ziemię naszą wszczepiając i wzduż ucząc naród wiary świętej, miłości Boga i czi Maryji.

Po wielkich i świętych biskupach, idzie niezliczony zastęp zakonników, pustelników i kapłanów: benedyktyni, cystersi, kameduli z pięciu św. braćmi Polakami, którzy jak niesie podanie, Najświętszą Pannę w szczególniejszy sposób miłowali i tej czi jeszcze pogański naród polski uczyli.

A św. Jacek Odrowąż? Toż to największy apostoł polski, którego Pani Anielska pieszczotliwie „Synu mój Jacku” nazywała; był on bez przesady tym dla Kościoła w Polsce, na północy i wschodzie — czym był św. Paweł dla początków całego Kościoła Świętego. Duchem św. Jacka owiani idą apostołowie Maryji jak: Bernard halicki, który apostołską działalność swoją kończy piłą przerzniętą, a prochy jego spalone, bł. Wit, biskup litewski, Sadoch z męczennikami sandomierskimi, Urban podkamiński, Fabian Maliszowski ze Stołpców i cały legion dominikanów polskich, braci różańcowych, którzy świętością życia, nauką i cudami całe narody Chrystusowi pozyskali, lub w wierze św. katolickiej umocnili, niosąc sławę apostołstwa Polski na krańce świata.

Ksiądz Walerian Kalinka w pismach swoich nazwał św. Jacka politycznym świętym Polski, mówiąc, że drogi jego stały się dla narodu wytyczonymi przez Opatrzność szlakami, którymi ma postępować w swoim posłannictwie dziejowym.

Równocześnie z dominikanami, gorliwie pracują synowie św. Franciszka we wszystkich swoich gałęziach. Przodu-



Matka Boska
Ostrobramska

je im inny wielki apostoł-misjonarz: bł. Jakub Strepa, metropolita halicki i arcybiskup lwowski. Później występują na widownię dziejową: paulini, trynitarze, kartuzi, a w czasach nowszych jezuita, pijarzy, misjonarze i inni, a nawet wschodniego obrządku bazylianie.

Zakony te wydały w ciągu wieków całe zastępy świętych, apostołów, wyznawców, męczenników — niezliczony wprost hufiec wybrańców bożych, wśród których króluje u stóp Maryji cała litanja wszystkich stanów i powołań tych, co wśród nas najlepiej umieli służyć Bogu i Ojczyźnie, bo najwięcej kochali Maryję: bł. Bogumił, arcybiskup gnieźnieński, Wincenty Kadłubek, dziejopis polski, biskup krakowski, później mnich w Jędrzejowie; św. Jadwiga śląska, dająca Polsce w ofierze syna na bój z Tatarami; św. rodzeństwo: Kinga, Salomea, Jolanta, a obok nich znowu siostra dwóch świętych braci Jacka i Czesława, norbertanka Bronisława, która z orszakiem św. dziewic, krzepi modlitwą, czasu tatarskiej klęski, zwątpiałe serca rodaków.

Za tymi świętymi staje świątobliwa Jadwiga Jagiellova, ofiarą swego serca „złote czasy” gotująca, które dają Polsce całą rzeszę świętych wyznawców z królewiczem Kazimierzem na czele: św. Jan Kanty, proboszcz okulski i profesor Jagiellońskiej Wszechnicy, bł. Ładysław z Gielnowa; Szymon z Lipnicy, Jan z Dukli, Izajasz Boner, Stanisław Kaźmierczyk i Michał Giedroń, którzy równocześnie żyją w Krakowie.

Czasy późniejsze dają nam znowu Piotra Skargę, Andrzeja Bobolę, Józefa Kuncewicza, Stanisława Kostkę, Klemensa Dworzaka i wielu świątobliwych, jak hetman Stanisław Żółkiewski, Stanisław Papczyński, zakonodawca marianów, M. Teresa Marchocka, Rafał Chyliński; w nowszych czasach: dyktator Romuald Traugutt z 63 r., Bohdan Jański, zakonodawca zmartwychwstańców, Edmund Bojanowski, fundator polskich służebniczek N.M.P.

Wanda Malczewska, August Czartoryski, Rafał Kalinowski, M. Siedliska, Brat Albert, ks. Bronisław Markiewicz, wielki jałmużnik i założyciel polskiego zakonu Michałitów;

obecnie zaś, już spośród nas wznoszą się wysoko nowe gwiazdy świętości, jak Aniela Salawa, służąca z Krakowa i gwiazda ludu polskiego, męczennica Maria Kozkówna; świątobliwy proboszcz z Jodłówki ks. Aleksander Pawłowski, nazwany polskim Vianney'em i wielu innych. Jakiż to cudowny — królewski orszak Maryji — Ojczyzny orędownicy — strażnicy Rzeczypospolitej.

*

Wypróbował i doświadczył nasz naród, iż dla Chrystusa i Jego Matki gotowiśmy na śmierć iść, byle tylko ugruntuwać Królestwo Boże na ziemi naszej i w sercach ludów ościennych — postawił go Bóg jako przedmurze chrześcijaństwa.

Od Bolesława Chrobrego, który Maryję „wielką swą Panią” nazywał, a kapłaństwo Chrystusowe w takiej miał czci, że „nie śmiał się pierwej do stołu nim tego nie uczynił kapłan”, od tego mądrego i wielkiego króla, którego przyjaźnią szczyli się święci: Otton i Brunon, aż do Sobieskiego i dalej, wiernie Matce Bożej służy nasi królowie, a im są wierniejsi Najwyższej Władczyni Polski, tym silniejsi i szczęśliwsi — potężniejsi wewnątrz a straszliwsi wrogom.

*

Maryja była gwiazdą przewodnią twórców państwowości polskiej: Władysława Łokietka, królowej Jadwigi, Władysława Jagielly, Zbigniewa Oleśnickiego, Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta I, Sobieskiego i innych, oraz opiekunką nauki polskiej.

Jej służyła najwyższa Akademia Krakowska, która na prawie pięć wieków przed ogłoszeniem dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Panny, opowiedziała się za jego uznaniem. Zarówno profesorowie jak i uczniowie przez wszystkie wieki chwalili Maryję. Wielki nasz astronom, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię” Mikołaj Kopernik, uczeń i chluba Krakowskiej Akademii, łacińskie wiersze na cześć Najświętszej Panny pisał pod nazwą: „Septem Sidera — siedem gwiazd”, w których przedstawia Maryję, ową „Gwiazdę Morską” jako niebiańską istotę, świecącą wszystkimi wdziękami cnót i zasług i promieniującą niewymowną chwałą.

Profesor teje Wszechnicy, św. Jan Kanty, żadnej nocy nie przespał, by się nie zerwać, nie pobiec do kapliczki uniwersyteckiej i nie złożyć tam hołdu Bogarodzicy, czczonej przez całą akademię.

*

Jak we wszystkich dziedzinach naszego życia spotykamy od zarania naszych dziejów wybitną cechę mariańską, tak i pieśń nasza, która się poczęła od słów „Bogurodzica Dzie-wica Bogiem sławena Maryja”... kształtuje się pod znakiem i w służbie Maryji. Słusznie stąd jeden z naszych uczonych nazwał Maryję „Królową poezji polskiej”.

Do niej to, jako do Matki Najślicniejszej, zwracają się nasi poeci, a w szczególności jeden z największych, ks. Maciej Sarbiewski, prosząc o zwycięstwo pod Chocimem:

*Panno, Królowo sarmackiej ziemi,
Oddal zagubę od naszej głowy!
I matczynymi modłami Twymi
Przeblagaj słuszną zemstę Jehowy.*

Wysłuchiwała Maryja swego pobożnego sługi, bo świetne zwycięstwo uwieńczyło wyprawę.

Bartłomiej Zimorowicz śpiewa znowu:

Zaden człowiek próżno Ciebie

Nie wzywał w ciężkiej potrzebie,

Zaden nie jest opuszczony

We złym razie z Twojej strony.

W Maryji widzi moc rycerskiego ramienia Wacław Potocki w swej „Wojnie chocimskiej”, na nią zwraca oczy Wespazjan Kochowski w hymnie „Jasnogórskim” i „Pobudce do rycerstwa polskiego”, gdzie ją „Królową” i „Sarmacką Panią” nazywa.

Za czasów saskich, gdy Polska poczęła chylić się ku upadkowi, dopiero konfederaci barscy, wzbudzający w sobie rycerskiego ducha przodków, mocy do czynu szukają u Tej, co „starła głowę węża”. Z tego to czasu pozostało mnóstwo pieśni na cześć Najświętszej Panny, Królowej Korony Polskiej, nie zawsze wykwintnych, ale szczerych i pełnych gorącej wiary, która ufać każe, że:

Wszystko czyni Syn miły dla Ciebie

Tylko się pokaż nam, Matko, w potrzebie.

Gdy zaborczość wrogów i skażony duch narodu spowodowały rozbiór kraju, wzbudził Bóg wielkie umysły, które widząc przyczynę zła w niedowiarstwie i upadku obyczajów, swoim wieszczym słowem wskazywały źródła odrodzenia.

Największy z nich Adam Mickiewicz, działalność swoją rozpoczyna od złożenia pokłonu „Przeczystej Bogarodzicy”, a w „Panu Tadeuszu”, najznakomitszym arcydziele literatury polskiej, epopei streszczającej życie całego narodu i jego pragnienia wolności z epoki napoléońskiej, wbrew zwyczajowi dawnych poetów, którzy zwracali się z prośbą o natchnienie do starożytnych, pogańskich bóstw, zaraz na wstępie wzywa pomocy Bogarodzicy:

*Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty! co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem,
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę.
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za zwrócone życie podziękować Bogu),...
Tak nas powróciś cudem na Ojczyzny łono!...*

Za nim idą dwaj inni z wielkiej trójcy poetów: Słowacki i Krasiński. Pierwszy w „Królu Duchu” przedstawia Maryję, jako wcielenie myśli narodowej a w wierszu „Do autora skarg Jeremiego” widzi w Niej uosobienie Ojczyzny.

Drugi, wiarą gorętszy w „Przedświcie” i w „Psalmie dobrej woli” przedstawia „Niewiaścę obleczoną w słońce” jako przewodniczkę narodu w wielkich jego dziejowych zadaniach.

Poza wymienionymi wieszczami, do obudzenia czi dla Najświętszej Panny w Polsce porozbiorowej walnie przyczynili się: Cyprian Norwid, Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Ludwik Syrokomla, Wincenty Pol, Kornel Ujejski, Władysław Bełza, Stanisław Wyspiański, Maria Konopnicka, Jan Kasprówicz i cała galeria większych i mniejszych poetów-czcicieli Maryji.

*



Matka Boska
Częstochowska

Lecz nie tylko królów, rycerstwo, czy też oświecone stany cechowało wybitne nabożeństwo ku czi Najświętszej Panny. Bo jeśli kto, to mieszczaństwo polskie zawsze odznaczało się wielką religijnością i gorącą czią do Maryji, której po Bogu zawdzięczało zawsze swój dobrobyt.

W każdym domu — w warsztatach, w sklepach kupców naszych wisiał zawsze obraz Matki Boskiej, przed którym paliła się lampka oliwna. Każdego rana o świcie rozśpiewywały się całe miasta na cześć „Rannej Jutrzenki i grzechów naszych lekarki” prześlicznymi godzinkami, a zmieszane w tym śpiewie głosy mężczyzn, niewiast i dzieci dziwnie podnosiły i umacniały serca.

W starych księgach kupieckich często napotykamy między rachunkami i zapiskami pobożne wezwania o pomoc Matki Najświętszej: „Daj łaskę Panno Przenajświętsza, abym Cię mógł chwalić”, albo „Pod Twoją obronę...”

Z tych czasów utrzymuje się jeszcze dotychczas pobożny zwyczaj wśród mieszczan, że na domach swoich, na ścianach frontowych, umieszczano obrazy lub posągi Bogarodzicy. Obrazy te, czy też figury otaczali mieszczanie zawsze taką czią, że kiedy raz radzono znanemu w Krakowie kupcowi Wencłowi, aby ze swego domu usunął obraz, bo on cały dom szpeci, pobożny mieszczanin odpowiedział: „obraz Maryji niczego nie szpeci, owszem wszystko zdobi”. I obraz ten odnowiony później zdobi rzeczywiście do dnia dzisiejszego Rynek krakowski.

Kiedy w 1850 r. straszny pożar nawiedził Kraków, niszcząc całą połą Rynku, kamienica Wencła z obrazem Niebieskiej Królowej została nietknięta.

Podobnych łask i cudów mogłoby sporo wykazać każde polskie miasto. Świadczą o tym te nieprzeliczone wota po kościołach i kaplicach naszych miast. Cechy bowiem i bractwa kupieckie współubięły się zawsze o to, aby w kościele mieć swój własny ołtarz, z których najwięcej poświęconych jest Niepokalaney Bogarodzicy, uznanej przez całe kupiectwo za jego szczególniejszą Patronkę.

W okresie średniowiecznym, wobec częstych i niespodziewanych napaści wrogów, poszczególne cechy mieszczańskie zobowiązane były do zapewnienia obrony odpowiednimi odcinkami murów miejskich wraz z ich basztami i bramami.

I oto pobożni mieszczanie polscy oddają te mury, baszty i bramy obronne pod cudowną opiekę Królowej Anielskiej,



Rycerski obraz obozowy N. M. Panny Zwycięskiej z Kozielska w kaplicy Sztabu II Korpusu na froncie włoskim

wmurowując na frontonach ołtarzyki i wizerunki Maryji, u której w czasie walk szukali wsparcia. Widzieć to można w Krakowie, Lwowie, Lublinie itd. a przede wszystkim w słynącej cudami, drogiej sercu każdego Polaka, wileńskiej Ostrej Bramie.

To słodkie oblicze Ostrobramskiej Matki Miłosierdzia o wejrzeniu, z którego przebija szczególniejsza miłość do ludzi a równocześnie smutek nad ich winami, pochyła się zawsze z matczyną troskliwością nad miastem. Wielokrotnie też zasłaniała go Ona i broniła w sposób cudowny, jaki Jej tylko jest właściwy. — Dlatego także wilnianie, bez względu na narodowość i wyznanie z prawdziwą czcią oraz uszanowaniem przechodząc przed Ostrobramską Kaplicą zdejmują nakrycia głowy w dzień i w nocy.

Ostra Brama wywiera prawdziwy wpływ, nie tylko na Wilno, gdzie pod opieką Jej Pani powstawały i rozwijały się różne organizacje religijne o szczególniejszym zabarwieniu maryjologicznym, jak Instytut Marianum pod wezwaniem Najświętszej Maryji Panny Zwycięskiej. Kult Ostrobramskiej Bogarodzicy rozchodzi się po całej Polsce, czego zewnętrznym wyrazem była uroczysta Koronacja Obrazu, jaka miała miejsce 2 lipca 1927 r. w obecności najwyższych dostojników państwowych i wojskowych, jako reprezentantów całego Narodu Polskiego.

*

W tej wielkiej rodzinie, którą stanowi trzydziestomilionowy naród polski, pierwsze co do liczby miejsce zajmuje lud wiejski. W ciągu wieków przechodził on różne koleje. — Był często w poniewierce, doznawał srogiego ucisku, nie mając po prostu głosu w społeczeństwie. Mimo to wszystko nie stracił on dwóch najdroższych skarbów, jakimi są miłość ziemi ojczystej i głębokie przywiązanie do wiary świętej.

W dobrej czy złej doli, lud nasz zwracał się zawsze do Najświętszej Panienki, swojej Opiekunki i Matki Najmilszej. Spieszył do Jej miejsc cudownych, aby się tam wymodlić, wypłakać i wypowiedzieć co mu dolega.

A Maryja ta najlepsza z Matek — zawsze łaskawa była swemu ludowi, objawiając mu się w niektórych miejscach, jak w Gidlach w 1516 r. włoszanie Janowi Czeczowski; w Żyrowicach pastuszkowi, szukającemu zgubionego bydełka; w Leżajsku Tomaszowi Michałkowi, zbierającemu w lesie drzewo, w Miedniewicach Jakubowi Trojańczykowi itd.

Nic też dziwnego, że ten lud polski głęboko przylgnął do swej ukochanej Matki, że jak dawniej tak i dzisiaj tysiącami gromadzi się na miejscach cudami Jej słynących, że oblega konfesjonały, a z piersi swej wznosi potężny śpiew ku czci swojej Królowej. I dopóki nie wygaśnie w nim ten wielki ogień miłości ku Maryji, tak długo ta ukochana nasza Matka i Pani, jak się opiekowała dotąd, tak i nadal lud swój płaszczem Swej królewskiej opieki otaczać będzie.

Słusznie też wielki misjonarz i miłośnik ludu, świętobliwy ks. Karol Antonowicz, wołał w jednym ze swoich kazań misyjnych, iż „połowę nieba zajmą polskie chłopy!”

*

Wziął więc naród polski Maryję ze sobą, — cała Polska zaciągnęła się w Jej służbę: królowie i wielmoże, duchowni i świeccy, rycerstwo i szlachta, mężczyźni i niewiasty, mieszczenie i lud siemniżny, co jak dziecię rzucał się do Jej stóp wołając z uniesieniem: „Matko pociesz, bo płacemy, Matko ratuj, bo ginimy”...

I Maryja dotrzymała słowa, Syn Boży niejednokrotnie ulżył nam ciężaru, czy to pod Lignicą, czy też pod Grunwaldem, Chocimem, Wiedniem...

Ale chyba nigdy jawniej Maryja nie okazała się naszą obroną, jak za króla Jana Kazimierza, w czasie owego straszego „potopu”, który Polskę pogrążył w bezdeń upadku. Kraj nasz niszczone ogniem i mieczem przez wrogów ościenych, zalany został przez najazd szwedzki, i gdy już całemu światu zdawać się zaczęło, że niedawno jeszcze tak potężna Rzeczpospolita uległa przemocy heretyckich zaborców — mała twierdza jasnogórska, miejsce szczególnej czci Maryji, stała się kolebką wielkiego porywu bohaterskiego, który doprowadził do wyzwolenia narodu.

Jasnogórski cud skłonił Jana Kazimierza, że zebrał dwór, senat, duchowieństwo, rycerstwo, szlachtę, mieszczaństwo, lud i na czele tych przedstawicieli stanów Rzeczypospolitej w dniu 1 kwietnia 1656 roku, u stóp Najświętszej Panny Łaskawej we Lwowie, złożył uroczyste śluby, obierając publicznie Maryję Patronką i Królową narodu polskiego, ślubując po wieczne czasy szerzyć i utrzymywać w narodzie cześć Chrystusa i Jego Matki, nie dać więcej powodu do łez włoszaniom i wymierzyć im sprawiedliwość, bła-

gając jednocześnie, by w zamian za tę obietnicę, Maryja uwolniła od nieprzyjaciół zgnębiłą Ojczyznę.

W pierwszych latach naszego odrodzenia, w dniu samych wrót stolicy załamała się fala bolszewizmu, który oprócz śmierci dla ciała, niósł straszniejszą truciznę dla ducha.

Zwycięstwo w r. 1920 nie zlikwidowało jednak ostatecz-

nie zła. W 1939 r. na Polskę z dwóch stron uderzyli wrogowie. Polacy chwilowo pokonani, zostali rzucony przez las po wszystkich prawie kontynentach. Niektórym z nich Opatrzność pozwoliła znaleźć się w Ziemi świętej i kroczyć śladami trudów ziemskiego żywota Naszego Boskiego Zbawiciela i Jego Niepokalanej Matki.

Jerozolima — w uroczystości
św. Kazimierza Królewicza — 1944 r.

Tadeusz Bielecki

Wiersz o matce

W tę niedzielę otwierasz zaklejone okna
I osty kolorowe wyrzucasz na szafę,
Na zrudziałej kanapie kładziesz się samotna
Z Zeromskim, lub z wierszami słonecznymi Staffa.
A słońce oknem bucha, a wiosenne wonie
w zakurzonej pokoju różnobarwnie grają,
kilim barwy nabiera, kwiaty na zasłonie
pachną dawnym, duszącym, staroświeckim majem.

I zasnęłabyś pewnie, gdyby nie niepokój,
gdyby nie stuk za oknem, trzask drzwi na parterze,
głosy zewsząd dręczące, szepczące naokół
i butem po chodniku bijący żołnierze.

Wieczorem idziesz wolno, odwołując chwilę,
zwykłą drogą, aleją cienistą od klonów,
między klombem, gdzie bielą i złocą się lilie,
a wyniosłym gotykiem ze zmlknętych dzwonem.
Mijają Cię przechodnie. Ty idziesz na pocztę,
lecz od placu się wracasz, bo powiedz, czy warto?
Tam tylko ze zdziwieniem spojrzą w Twoje oczy
i na Twą czarną suknię na lokciach przetartą.

O Mamo! tam w ogrodzie jest japońska wiśnia,
która właśnie się kwieciem obrzucać powinna —
tam jak dawniej się spotkasz z poetyczną myślą,
z myślą zbłąkanego za morzami syna.

Raz szliśmy przez Warszawę. Też pachnącym majem,
skwerki świeżą zielenią, kwitły na kamieniach.
Szliśmy błędząc bez celu, ucząc się nawzajem —
ja mówiłem o jutrze, a Ty o wspomnieniach.

Tu wyrosną aleje proste, dumne, śmiałe,
kamienice oknami patrzące ku Wiśle
i topole ku niebu bijące jak strzały —
a tu — popatrz — tu będzie nasze metro przyszłe!
Tędy prosto w budowlę szarych perspektyw
lamowana trawnikiem aleja Marszałka,
pomnik całym Narodem dźwigany uczciwie
i most łukiem nad rzeką ku zielonym parkom.
Warszawa się rozleje, pod chmury wystrzeli,
zazieleni i gmachy wyciosa z granitu.
Warszawa z malachitu, ze złota i bieli
będzie sercem narodu na chwałę rozkwitłym.

A Ty mnie od Powisla od alej i mostu
w tę Warszawę Wokulskich, Dziewiczy z Nowolipki
ciągnęłaś, i niepewna sławy jej rozrostu,
szepotałaś: patrz tu grywał ongiś ślepy skrzypek!
A tu, tu, w tamtym oknie, na ciemnym poddaszu
dawałam niegdyś lekcje polskie potajemnie;
tutaj niegdyś mnie żandarm moskiewski przestraszył,
a tutaj raz strzelali — lecz to już bez mnie.
Tędy biegłam z pochodem w owym roku piątym,
a przeciw nam kozacy jak widmo zagłady.
A tu też — czy uwierzysz — patrz ten złoty fronton —
tutaj widziałam Prusa z pudłem czekoladek.

O! Mamo! Jakże dzisiaj patrzysz na te domy
polamane, zburzone, w nędzy i popiołach?
Miasto Twojej młodości! Znak chwały widomy
zagrzebany za życia po piwicznych dolach.
Może siedzisz u okna każdy wieczór szary
i dawnych ech wsluchujesz z Leszna i Wareckiej?
A może zawsze czynna w swojej sukni czarnej,
kryjąc się pod ścianami, znów biegasz po lekcjach?

Raz zagnałaś mnie w schronie. Alarm trwał na górze,
Tyś jedna nieulekła pośród ławych spojrzeń.
Schyliłem się nad Tobą, a byłem w mundurze,
więc szepnęłaś mi tylko: idź i bij się dobrze!

Drugi raz do mnie wyszłaś ze szpitalnej sali,
Lecz już wtedy nie mogłaś leż wstrzymać biegających,
Ja także inny byłem. Lecz przecież bez żalu
wyprawiłaś mnie w drogę — Ty wytrwasz do końca.

I wiem, ilekroć spojrzę ku Tobie na zachód,
że może już ostatkiem, ale jeszcze walczysz,
że w twarze swoich kątów patrzysz się bez strachu
za siebie i za innych — dopóki sił starczy.

Pewno włosy Twe bardziej jeszcze posiwiały
i Twa suknia codzienna bardziej się wytarła
i ręce Twe od pracy bardziej popękały
i zmęczona już jesteś — ale zawsze twarda!

O Mamo! Jeśli nigdy nie przyjdę do Ciebie,
jeśli nigdy sam tego powiedzieć nie zdołam —
wiedz, że Ciebie pamiętam w najgorszej potrzebie
i o mnie możesz myśleć z podniesionym czołem!

Czesław Dobek



Chrystus Młodzieniec

Na wzniosłym wzgórzu, panującym nad doliną Naza-
retu, nad rozłożonym po zboczach jego miasteczkiem — stoi
zakład wychowawczy ks. ks. salezjanów, a przy nim wysoki
kościół. Kościół przeładowany zewnątrz szczegółami,
należy wewnątrz do najpiękniejszych. Materiałem wyłąc-
nie użytym do budowy i wykończenia jest biały, śnieżno
biały marmur. Żadnych malowideł, złocień. W miejsce okien,
cienkie płyty marmurowe, misternie rzeźbione i drażone, z
wprawionymi w nie ułomkami kolorowych szkiele. Słońce
łamię się w nich tęczą i prześwieca, siejąc barwny blask na
białe kolumny i ściany. W białym marmurze ołtarza także
postać Chrystusa jako młodziutkiego chłopca, pasącego
owce. Kościół bowiem jest pod wezwaniem Chrystusa-Mło-
dzieńca.

I dobrze się stało, że oo. salezianie postawili kościół pod tym wezwaniem tutaj właśnie, w Nazarecie. Gdy Betlejem należy niepodzielnie do Dzieciątka Jezus, Jerozolima do Chrystusa z Golgoty i Góry Oliwnej, do Chrystusa Zmartwychwstałego, do Chrystusa Króla, — Nazaret posiada samo dla siebie całą Chrystusową młodość.

Tutaj, w tej cichej dolinie, Chrystus spędził dwadzieścia kilka lat życia. Miłośnik gór, wychodził po wielokroć na otaczające wzgórza, skąd widział ciemniejące w dali, niby szafirową chmurą, Morze Pośródziemne, — w przeciwnej stronie turkusowo-białe Jezioro Tyberiadzkie, — górę Tabor, — Karmel Eliaszowy, niby dziób okrętu uniesiony nad morzem, — zaś za Jeziorem Tyberiadzkim, w oddaleniu, ośnieżony Wielki Hermon, biały jak tron Boga i jak tron Boga wysoki. Białe stopy wyrostka biegły skalną, kolczastymi opuncjami wysadzoną ścieżką, gdy szedł z Matką w dół po wodę, do jedynej studni, tej samej, z której Nazaret czerpie wodę dzisiaj, — bo studnie w Ziemi Świętej są rzadkie i wieczne. Stanąwszy pod starym łukiem cembrowiny, Matka i Dziecko czekali spokojnie, aż zaczerpną wody bogatsi, lub opiją się do syta wielbłądy, zdążające z ruchliwego miasta Sichem do Kany lub Tyberiady.

Doczekawszy się swojej kolei, Maria stawiała sobie

na głowie wielką glinianą ainforę, napełnioną wodą, i trzymając Synka za rękę, pięta się z powrotem pod górę, smukła i prosta. Przed domem, dobry ojciec-opiekun, siedząc w kucki na kamieniach, gładził cierpliwie nożykiem obrabiany w rękę kawał twardego oliwkowego drzewa. Wyrabiał niskie stołki o siedzeniu plecionym z palmowego лыка, sochy z korzenia sykomorowego, łeki do juków wielbłądzych, лыżki i stągwie na mąkę. Ciesiolka, stolarka, nieznanе w bezdrzewnej Judei, były zawsze rozpowszechnione wielce w Naza-

I dom sam nie różnił się niewątpliwie od tych, co czepiają się dziś stoku góry. Główna mieszkalna część, wykuta w skale, tworzyła niską, lecz chłodną i suchą grocie. Do niej przylepiony, murowany z kamienia wylupanego przy rąbaniu groty — pół domek, nakryty płaskim dachem-tarasem, z wąskim wejściem i dwoma otworami okiennymi. Wokół domu na stoku góry kwitły obficie wiosną czerwone anemony, drobne różowe cyklameny, hizop o srebrzystych liściach i żółte tulipany. Lata szły...

Coraz starszym był Józef, pracowity cieśla, siedzący niezmiennie przed domem, przy swoim warsztacie. Maria straciła dawno młodość i dziewczęcą swoją urodę. — Tak szybko starzeją się kobiety na Wschodzie! Coraz częściej Syn wyręczał Ją w domowej robocie; — nie dbając na drwiny i śmiechy rówieśników, niósł za Nią wodę od studni. Patrzyła wtedy z miłością niewysłowioną na tego Syna, tak pięknego, tak ukochanego, dorosłego już mężczyznę, niepodobnego do nikogo w świecie. Czasem, zatarte latami, przypominały się Jej przedziwne zdarzenia, towarzyszące Jego dzieciństwu i narodzinom, — Betlejem Judzkie, i kilkoletni pobyt w Egipcie, — i wielkie cuda i wielkie znaki, — i w ślad za tymi wspominkami radość, że jednak, mimo wszystko, ten Syn ukochany żyje sobie przy nich tak spokojnie, pogodnie w Nazaretańskiej dolinie i oddalać się nie zamyśla, — i niejasna trwoga, przecucie, że owe cuda i znaki nie mogły mówić na próżno, i że nadejdzie dzień, w którym wypełni się, co przepowiadały...

Jeżeli w takiej chwili podniosła oczy od kądzieli, którą pracownice snuła, i spoglądała na tak dobrze sobie znane okoliczne szczyty, to zdawały Jej się one nagle przeobrażone i odmienione, i coś do Niej gadające. Tabor — o Przemienieniu... Najbliższe groźne obrywisko — o Strąceniu... A porośnięta cyprysami górką — o Matce Bożej Struchlałej... Matka Boża... Kto nią będzie?... Kto struchleje?... Kogo zła tłuszcza będzie usiłowała strącić?... A tam znów, któż to się w Jasność przeobrazi?...

Lecz Jezus nadchodził uśmiechnięty, z naręczem gałęzi i mchu na opał, i mówił wesoło, że dobrze jest ludziom w Nazarecie, gdzie trochę się potrudziwszy, znajdziesz drzewa pod dostatkiem, zaś w Jerozolimie trzeba żmudnie mięsic glinę z gnojem, i robić z niej cegły i na słońcu suszyć, by mieć przy czym placki upiec..., i że słońce dziw jak pięknie zachodziło ponad morzem... Tak opowiadając, siadał na ziemi wśród spędzonych już do zagrody owiec. Układały się wnet koło Niego ciasnym wieńcem, jagnięta garneły Mu się w ramiona, a myśli Matki wracały ukojone do kądzieli. Żaden lęk nie mógł się ostać wobec Jego obecności.

Zofia Kossak-Szczucka

Dolina Królowych

Jest w Egipcie Dolina Królowych z cudowną zjawiskową świątynią królowej Hatsepsut — jakiejś Herod-baby, która wedle relacji Hasana była najpierw żoną swego brata, a potem żoną swego syna... Co kto lubi... Dokonała pono jakichś niesłychanych podbojów, była mądra i potężna; trzęsła Górnym i Dolnym Egiptem i uznała, że należy jej się za to wspaniały i osobny grób. Ale kiedy umarła, tenże jej syn i mąż kazał z nienawiści, na całym obszarze obu Egiptów, wszelkim jej podobiznom pozacierać twarze... Musiała mu ta wujenka, matka i żona porządnie za pazury zależeć! Ale świątynia jest cudowna! Gust bo babina miała! Pod spiętrzoną nawisem złoto-różowych wagórz, spokojny, królewski rytm kolumnady, wrzynającej się dwoma kondygnacjami w dziki chaos skał i oсыpiska piasków — jest tak majestatyczny, tak dobroczynnie harmonijny, że słów brak! Może to właśnie dzięki kontrastowi dzięki tła z rafinowaną prostotą linii wydobyć zdołano ten efekt? Nie wiem... To jedno wiem, że jest w tej świątyni coś, co się prawie wymyka wzrokowi, a co się już zaczyna wy-lapywać słuchem — jak muzykę...

Jakże bardzo musiał Ramzes II kochać swoją Nefertari! Jakież wspaniały pałac przygotował jej białej duszy! I nie podobna mu się dziwić: Nefertari jest cudna! W dziesięć białych, przejrzystych szatach, lotna, smukła, stąpa po ścianach swego grobowca. Do każdej ściany lepi się ten jej złoty, młodzieńczy profil, powtarza się tu wszędzie niezliczoną ilość razy, bo królowa wędruje od sali do sali, od komnaty do komnaty, raz przez tę, raz przez inną boginię, od jednego do drugiego boga, za rękę prowadzona. Kochał ją widać bardzo Ramzes II. Na wszystkich prawie posągach kazał sobie stawiać koło łydki tę smukłą, ukochaną laleczkę. Ją jedną zdaje się spotkał taki zaszczyt. Nie pamiętam, aby inny faraon podobnie wyróżnił żonę... Ramzes nawet więcej zrobił. Pozwolił jej raz, w posagu tej samej, co i on wielkości, zasiąść obok siebie na tronie. Tkwią tak do dziś w karnackiej świątyni... Ale tu — w grobowcu — Nefertari jest już sama — tak rozbrajająca sama, wśród tych strasznych bogów, o głowach szakala, ibisa, sępa czy byka, prowadzona — jak oni wszyscy zresztą, w ten podziemny świat śmierci, przez świętą, rozsychaną zmięję... Wreszcie wgarnia ją pod swe błękitne, szeroko rozłożone skrzydła bogini prawdy Maat, której powierzono straż nad samym sarkofagiem tej białej, trwożnej, ukochanej libelli Ramzesa. — Ze wszystkich grobów faraonów ten jest stanowczo najpiękniejszy.

Nie zapytałam Hasana, gdzie jest grobowiec Nefertitis — najpiękniejszej kobiety świata — tancerki, wyniesionej do godności żony i królowej przez kapryśną miłość króla Akhmetona, tego heretyckiego króla, o najdziwniejszej, niepokojąco brzydkiej, kpiącej twarzy, z którym sobie kapłani poradzili w końcu wcale pomysłowo... Oto nasycili truczną papirusy, z których król lubił odczytywać swoje heretyckie mądrości i Akhmeton, śliniąc palce przy przewijaniu ich, zatrzymał się powoli, ale systematycznie.

I ma Dolina Królowych jeszcze inną swoją osobliwość. Nagle, wśród grobów samych królewskich kobiet — grób

mlodego księcia. Jeden jedyny między kobietami... Dlaczego? Miał Ramzes III ukochanego syna, Amenkhepersefa. Dziecko musiało być wale i od kądyski okazane na umiarze. Ponieważ był czynny mniej od faraona a więcej od nobla, przewidujący najgorsze król zaczął mu budować grób tu właśnie, wśród królowych. Cudo nie grób, o ścianach pokrytych fryzem, wyobrażającym nieśczęsnego ojca, przysięgę o protekcję dla księcia u wszystkich bogów po kolei. Śpieszył się bardzo, bo roboty mogły trwać tylko tak długo, jak długo przyszedł mieszkaniac gróbu żył. Z chwilą jego śmierci przerywano wszystko, w pół słowa... i mumia wprowadzała się do niewykończonego jeszcze grobowca. Ale tu się zdarzyło odwrotnie. Mieszkanie było gotowe, a nieboszczyk skrewił! Księżę się wychował, przeżył ojca i panował. Od pierwszej chwili panowania zaczął sobie oczywiście mościć nowy grób tym razem już w Dolinie Królów, wedle własnego gustu i własnego o sobie mniemania. „Niedoszły” zaś grób замуrował — pusty. Tak mu się przynajmniej zdawało. Kiedy po tysiącu lat odkryto ten grobowiec, znalaziono w sali, gdzie stał sarkofag księcia, w kącie, na ziemi, wetkniętą w kociołkę z trzciny — mumię noworodka. Jaką niewyjaśnioną, tajemniczą do dziś historią. Leży tu jeszcze w kącie, mniejsze od mumii kota... Wygląda jak duży, uschnięty, zakurzony pajak. Wielka, smutna głowa wtuliła się w badyłe pokolonych nóżek i rączek trochę powijaczy, kociołka — i już. — A teraz pytam, kto dorobi historię tej mumijski? Kto wymyśli i opowie, jakim sposobem i dlaczego znalazła się w niedoszłym grobie młodego księcia i kto ją tu zdążył ukryć, nim замуrowano wejście? Bo że w tej zakurzonej kociołce śpi epilog jakiegoś dramatycznego zawikłania — to więcej jak pewne. Może by tak rozpiścić konkurs — co? Przedtem jednak należałoby jeszcze stwierdzić, czy to wszystko, co nam Hasan opowiada, ma jakkolwiek historyczny podstawę. Tego bowiem nie jestem pewna.

Nie jest to jednak jedyna mumia na obzarze tej doliny. Trochę na uboczu nad jednym z wejść czernieje tablica z napisem „Grób nieznannej królowej”. Uśmiech, którym mi Hasan odpowiada na pytanie, jest w tej chwili bardzo podobny do tych uśmiechów, wśród których błąkam się od dwóch dni... Prowadzi nas na dół ku wąskiej szczelinie w skale i każe zejść do wnętrza. W pierwszej chwili nie widać nic... Ciemno. Pusto. Potem spostrzega się na ziemi stos suchych badyli i tyk... Jedne tędy, drugie tędy, pod sobą, nad sobą, jak popadło... Teraz u końca tych tyk znalazły się już głowy... Łyse, opięte brudną powłoką. A teraz już widać i zapadłe bolesnie jamy oczu i usta otwarte czarnym, bezgłośnym krzykiem i żebra i piszczelce... To planktanina smukłych, poczerniałych — zsypanych bezładnie, jak patyki w drewnitni — bezimiennych mumii! Boże dobro! Dlaczego tak? Nigdy nie pojmę czemu, po tysiącu — czy choćby po pięciu tysiącach lat — uważa człowiek, że zyskał już prawo takiego traktowania czyichś szczątków? I gdzie jest granica? Od ilu wieków po Chrystusie dopiero zwłoki człowieka zaczynają być uważane przez żywych za ludzkie zwłoki a nie za mniej lub więcej interesującą — ciekawost-

kę? Tak. To prawda. Były nieprzezorne, że się same nie rozsypały w proch. Ale czyż ma się prawo karać je za to? Skoro się je wydłubało z ich grobów, rozpowiło z płócien i skoro nie ma z nimi co zrobić — trzeba było po prostu w piasek znów zakopać te bezbronne, bezimienne — przez nieśmiertelną jednak duszę zamieszkałe ongiś — badyte...

W osobnej dolinie, dalej trochę od królewskich, mieszczą się groby wielkorządców, regentów, ministrów i książąt. Grobowce te są mniejsze, o wiele płytsze od tamtych i nie tak rozgależone. Zasadnicza jednak różnica polega na czym innym. Faraonowie po śmierci zadawali się już tylko z bogami i malowidła w ich grobowcach przedstawiają prze-ważnie peregrynacje, podczas gdy ziemskie ich życie i czynny rozplynęły się w niezrozumiałych znaczkach hieroglifów, niknąc sprzed wzroku śmiertelnika. W grobowcach noblów — przeciwnie. Mniej jest „tamtego” świata, a za to „ten” jawi się olśnionym oczom z całą drobiazgową, czarującą dokładnością. Czego tu nie ma? Winobrania, polowania, żniwa, uczty, połowy — wszystko, aż mrowi się od zaśpie-szonego ruchu, aż syczy wyteżona, owadzią pracą tych brunatnych, profilowych człowieczków. Parokrotnie zawsze od roboczego tłumu większa postać nobla jawi się raz po raz wśród nich i bierze czasem czynny udział w ich pracach. Trudno laikowi rozróżnić, czy mowa tu o pracach na tym, czy na tamym świecie, bo symbolika tak się tu gubi w rea-lizmie, że się przenosi nie chywa. Lecz mniejsza z tym... Nie to jest ważne w tej chwili. Najważniejszy jest ten nie-przeparty urok, naiwność i wdzięk, z jakim pradawny ka-mień opowiada o pradawnych pracach, urodzajach, dobro-bycie, radościach, szczęściu... Parę takich okrucich przy-lepiło się wyraźniej do pamięci...

...Oto wielkorządca Sen-Nazan i jego żona Ai-Nefert — oboje biali i przejrzyści — weszli po pas w łan dojrze-łego zboża. On ścina błękitnym sierpem wąsate kłosa — same kłosa — a ona zbiera je do koszyka...

Tam znów, na jednej ze ścian grobowca Meny, cała jego rodzina wybrała się na polowanie... Wbiła się wąską łodzią w kępę trzin i wypłoszyła chmurę kolorowego ptac-

twa. Podczas gdy inni polują, smukła, naga dziewczyna, prześlicznie żywym ruchem, wychyla się z łodzi, by zerwać lilię wodną. Jeszcze jej dotąd nie zerwała...

A indziej znowu Sen-Nefer i jego siostra Meryt. Stoją oboje pod granatowym dachem winnych gron, a kapłan dlatego, że im gorąco, czy dlatego, by ich oczyścić przed złożeniem darów, które przyniesli... Trochę dalej, na innej ścianie tenże sam Sen Nefer siedzi sobie w cieniu świętego drzewa i popija wino, podczas gdy klęcząca pod jego krze-słem jego malutka żona zachłannym ruchem brunatnych łapiąt oplótła mu nogę. Pan ten trzyma przy ustach ledwo rozkwitły kwiat lotosu. Może go wacha... Wygląda to jed-nak tak, jakby rozmawiał z kimś przez telefon...

I jest tu jeszcze jeden taki, z kwiatem lotosu. Ramosa! Przecudny, młody, aksamitnooki Ramosa! Profil jego — naj-piękniejszy chyba ze wszystkich — jawi się na tych ścia-nach zawsze w pobliżu lotosów i tak mi się dzięki temu zrosł w myślach z tym świętym kwiatem, że nie wiem już w końcu, czy dusza lotosu ma twarz Ramosy, czy Ramosa ma lotos zamiast duszy?... Trzymaj go mocno za ramię, piękna Ptahmerty, trzymaj go dalej tak, jak go trzymasz od tysięcy lat, bo ci się gotów rozwiąć pod rękami, tak wy-wietrzeć i ulotnić, jak zapach jego świętego kwiatu...

Nie! W grobowcach noblów nie czuje się wcale śmier-ci. Zbyt wiele miejsca odstąpiono żywemu życiu na tych ścianach. Zbyt barwnie się je tu wspomina. Ale czyż można się dziwić? Takie to wszystko u tych czerwonych mrówek było mądre, celowe, pomysłowe, takie bujne, syte, dostatnie! I takie mnóstwo wszystkiego! Te złote góry zboża, te putnie granatowe od winogron, te sieci pełne szmaragdowych ryb i siłła tęczowe od ptactwa!

Bardzo dziwnie robi się człowiekowi, kiedy patrząc na te cuda uświadomi sobie nagle, że wszelka ta bujność, te kolory i to rozsycane pracą i radością życie — ma dziś nad sobą Dolinę Śmierci i że, aby się ostać takim, jakim było, musiało się schronić — w grobowce...

Beata Obertyńska

Odezwa Ministra Obrony Narodowej do kobiet polskich

Minister Obrony Narodowej, gen. Kukiel wydał nastę-pującą odezwę do kobiet polskich:

„Polki! W związku z wejściem głównych sił Wojska Polskiego do akcji bojowej zwracam się do Polek, rozrzu-conych zawieruchą wojenną po całym świecie, by dopomo-gły naszym siłom zbrojnym w tej ważnej chwili. Żołnierze nasi, walczący we Włoszech i mający niebawem stąd ru-szyć do walki, muszą mieć szpitale, prowadzone i obsługiwane przez polskie siostry sanitariuszki. Nie możemy polegać na pomocy kobiet brytyjskich. Są one całkowicie zmobilizowa-ne do pracy wojennej, którą z poświęceniem pełnią. Do służby w polskich szpitalach muszą znaleźć się Polki.

Najszczytniejszą powinnością kobiety w służbie dla ojczyzny jest pielęgnowanie rannych i chorych żołnierzy, których życie i siły trzeba ratować dla dalszej walki i pracy

dla Polski. Weszliśmy w końcowy okres wojny. Już teraz nie wolno czekać beczynnie na możliwość powrotu do Pol-ski. Trzeba na ten powrót zasłużyć. Trzeba w walce o ten Kraj upragniony czynnie dopomóc, aby móc z podniesio-nym czołem stanąć wobec tych, którzy w niesłychanej nie-doli trwali, cierpieli i walczyli.

Wzywam te Polki, które już dawniej w zawodzie pie-lęgniarskim pracowały i te, które zawodu tego dopiero nauczają się. Będzie to dla nich zarazem zapewnieniem pracy na przyszłość, gdy wrócą w strony ojczyste. Najbliższe pla-cówki konsularne poinformują was o warunkach pracy w grupie służby zdrowia P.S.W.K.

Zgłaszajcie się jak najliczniej do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, by zgodnie z tradycją i najświętszym obowiązkiem, znaleźć się w szeregach Polski Walczącej.



Dwulecie Szkoły Młodszych Ochotniczek

Z chwilą, gdy dla więźniów i zesłańców na terenie Z.S.R.R. ogłoszono amnestię, siła żywotna Polski wyraziła się we wspaniałej organizacji armii. Drugą najżywniejszą sprawą, jakże trudną w tych warunkach, była opieka nad dziećmi polskimi, pozbawionymi domu, Ojczyzny i najbar-dziej podstawowych warunków, w których wzrasta i roz-wija się fizycznie i duchowo dzieciństwo. Energią nauczy-cielstwa polskiego powstawały w Z. S. R. R. szkoły i dzie-cińce. Bez żadnych pomocy naukowych, bez książek i pro-gramów zorganizowano te szkoły tak sprawnie i metodycz-nie, że należy się nie tylko podziw, ale i szacunek dla facho-wości i ideowości kadr nauczycielskich, które samorzutnie podjęły się tej pracy, zanim jeszcze zaczęły ją organizować nasze oficjalne czynniki. Wspomnę choćby dr J. P. znaj-dującą się dziś w szeregach P. S. K., która w miejscu swo-jego zesłania, w Kirgizji, zorganizowała dziesięć szkół pol-skich.

Na przestrzeni historii, nie tylko polskiej ale Europy, niewiele znajdziemy przykładów, świadczących o zrozumie-niu zadań wychowawczych wobec młodego pokolenia tak wyraźnie jak te, które widzieliśmy na terenie Rosji. Zwa-żyć przy tym należy, że praca podjęta była w warunkach najgorszych pod każdym względem. Troska o młode poko-lenie przejmowała nie tylko nauczycielstwo, nie tylko rodzi-ców. Wszakże to armia nasza, która sama zaledwie zor-ganizowana, od razu podjęła myśl i inicjatywę sprowadza-nia dzieci naszych ze wszystkich ośrodków zesłań i dołożyła wszelkich wysiłków, aby stworzyć dla nich szkoły i dać im opiekę, prawie równą opiece rodzinnej. Bo wojsko polskie

kocha dzieci i rozumie je tak, jak siła i dzielność łącząc się umie przymierzem serca z młodością — która jest nadzieją i radością narodu.

Od kwietnia 1942 r. we wszystkich miejscach postoju żołnierza polskiego w Z. S. R. R. powstawały więc szkoły i przedszkola. Codziennie rano rozbrzmiewały głosy dzieci w szkolnym rytmie pracy w Jangi-Jul, Szachriziabs, Ker-mine, Wrewojskoje. Dżalał-Abad, Karasu i wreszcie w naj-większym ośrodku szkolnictwa polskiego na terenie armii — Gazar.

Z dalekiego Sybiru, Kazachstanu, Uzbekistanu, z Altajskiego kraju — codziennie przybywali zesłańcy polscy do armii, a ci żołnierze, sami wygłodzeni, dzielili się swoją porcją z dziećmi, tak wynędzniałymi, że zatraciły cechy swojego wieku — nie umiały ani się bawić, ani śmiać. Dopiero w wojsku polskim przywrócono im pogodę dzie-ciństwa.

Pracę nad dziećmi powierzono ochotniczkom Pomocni-czej Służby Kobiet. Z całkowitym zrozumieniem ważnego obowiązku — pielegnowały one dzieci w szpitalach epi-de-micznych, jak dobre matki gotowały im strawę, prały bie-liznę, szyły i latały odzież. Uczyły je słowa polskiego i od-dawały je z powrotem kulturze polskiej — jak prawdziwe nauczycielki. Pamiętam — w czasie inspekcji jednego z ośrodków wzięłam małą trzyletnią Hanię na ręce i uca-łowałam ją. Dziecko spojrzało na mnie wielkimi czarnymi oczami, objęło mnie za szyję i wyszeptalo: „Ja was ljubiu” — Po rosyjsku — nie znało już mowy rodzinnej...

Jednego dnia zameldowałam Dowódcy Armii Gen. An-

dersowi, że na terenie Ośrodka Zapasowego Kobiet w Guzarze jest taka duża ilość dzieci, że trzeba będzie utworzyć szkołę. Dodać tu należy jako wyjaśnienie, że wiele zgłaszających się do P. S. K. kobiet przybywało z dziećmi i że w tamtych warunkach dzieci nie mogły być przeszkodą w przyjmowaniu do szeregów P.S.K. Gen. Anders polecił opracować plan i organizację szkoły. W Guzarze było 70 dziewczynek. I tak się zaczęło to wielkie dzieło, które dzisiaj skrzepło w doskonałe formy szkoły Junaków i pierwszej w historii polskiego wychowania — wojskowej szkoły dla dziewcząt pod nazwą: Szkoła Młodszych Ochotniczek. Liczba uczennic wzrastała szybko. Dowództwo Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R. ustaliło najpierw etaty na 250, a w krótkim czasie mieliśmy cyfrę zdwojoną, a w chwili ewakuacji do Iranu szkoła liczyła 1009 dziewcząt.

Z ominięciem chronologii, wspomnę tu jeszcze o pewnym wydarzeniu. Któregoś dnia zgłosiła się do mnie kobieta o dużych niebieskich oczach i wynędzniałej twarzy. „Nazywam się Szaniawska, jestem nauczycielką” — powiedziała. „Pojedzie pani do Guzaru, jest tam duży ośrodek szkoły dziewcząt” — oświadczyłam krótko. Oczy nauczycielki zalśniły łzami radości: „Jezu! To ja będę znowu uczyła w polskiej szkole?” — Chwila ta była dla niej jak dojście po ciężkiej wędrówce do źródła życia. Wracała znowu do pracy w zawodzie nauczycielskim. Taka właśnie jest postawa duchowa polskiego nauczyciela-wychowawcy. Dzięki niej i dzięki ogromnej pracy i wiedzy kierownika oświaty w A.P.W. prof. mjr. A., dokonana została organizacja szkolnictwa polskiego w ramach wojska i zachowana

ciągłość kultury wychowawczej, dająca tak chlubne świadectwo twórczości wysiłku narodu.

Szkoła Młodszych Ochotniczek dała setkom dziewcząt możliwość uczenia się w zakresie szkoły powszechnej i szkoły średniej. Ochotniczki P.S.K. odkomenderowane do Szkoły Młodszych Ochotniczek, mogły zdać i zdają w dalszym ciągu małą i dużą maturę. Wycofywane na pewien czas z zajęć w P.S.K., wracają następnie do swoich oddziałów, do pracy, w której były już przeszkolone, aby pełnić nadal służbę w wojsku. Oczywiście, że zespół nauczycielski w S.M.O. — to ochotniczki P. S. K.

Z charakteru Szkoły Młodszych Ochotniczek wypływają poważne postulaty wychowawcze, które wzbogacają treść naczelnej idei wychowania narodowego. Dziewczęta polskie wychowane w szkole wojskowej, na obczyźnie, w epoce największego dramatu dziejowego Polski, muszą wrosnąć głęboko w dobra kulturalne Polski i wypracować w sobie odwagę charakteru, który zyskuje człowiek na drodze wysiłku i krytycznego wnikania w siebie. Tak, jak to czynił zawsze w życiu wódz duchowy narodu Józef Piłsudski, który wypowiedział tę prawdę słowami: „Nienawidziłem zawsze słabości, która upiększa się chce dźwiękami słów bez treści”. Młodzież wyrosła w tej szkole stanie się sprawdzianem wartości narodu wtedy, gdy ukształtuje w sobie silny pion ideowy i odpowie na pytanie: „Czy Polska ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, potrzebującym opieki możnych”.

Na to pytanie młodzież musi odpowiedzieć zgodnie z polską racją stanu.

Bronisława Wyslouchowa

Z najmłodszymi

Gdy zorganizowano szkoły dla naszych najmłodszych chłopczków, ochotniczka-nauczycielka stanęła do pracy w warunkach bardzo trudnych. Namioty rozbite na pustyni — w porze deszczowej tonęły w wodzie i w błocie, a w upalne dni lata żar przepalał niemal mózg, nie przepalał jednak zapału do pracy. Nie przeszkadzał jej też brak sprzętu szkolnego, bo w pustynnym gruncie wyrabiali junacy, ledwo od ziemi odrosłe pędraki, szumnie nazwane ławki, na których w nieprzepisowych, co prawda, postawach, ale z zapałem pisały niemal na piasku litery abecadła polskiego, odgrzebując je w pamięci, przyćmionej przeżyciem w Rosji, lub ucząc się ich od początku.

Nie myślę tu pisać panegiryków na cześć nauczycielek, wyniki ich pracy są najlepszymi wykładnikami ich wysiłku, który w imię obowiązku obywatelskiego spełniały i spełniają dzisiaj w warunkach na szczęście dla dzieci i dla nich lepszych.

Przypatrzmy się tej pracy. — W pięknie położonym m. p. między górami, na najwyższym wzniesieniu wznosi się klasztor O.O. Salezjanów, który i dziś, jak dawniej, przytulił w swoje mury kilkuset chłopców z dalekiego, północnego kraju. Białe mury klasztorne ze zdumieniem wchłaniają w siebie dźwięki niesłyszanej tu mowy, tak odmiennej od mowy tubylczej, arabskiej. Dzikie gołębie gnieźdzące

się pod dachem budynku z niemniejszym zdumieniem przypatrują się małym, dziwnym „człowieczkom”, wyglądającym, jak żołnierze w miniaturowych zielonych mundurach nad ich miarę obszerne, kryją serca młodych Polaków w wieku od 8—14 lat, którzy szturmem zdobyli nie tylko mury klasztoru, ale i serca zakonników, cicho żyjących w zakładzie nieczynnym w czasie wojny. „Małoludki” szybko zaznajomiły się z terenem tutejszym — lasy sosnowe, kamienne pagórki, aleje cyprysowe, baseny wodne stały się terenami, gdzie jest okazja do wyładowania różnych pomysłów, planów (gdyż często przy upadku z drzewa uciierały „krzyże”). Baseny wodne (woda do picia, ale czy o tym jest czas myśleć?) głębokie na kilka metrów stawały się „oceanem”, w którym zanurzało się ciało kilkuletniego rozbitka (na niby), za chwilę naprawdę rozpaczliwie fikającego nogami i rękami, by dobić do portu zbawienia po straszliwej przygodzie. Portem okazały się ramiona tęgiego szefa kompanii, który umiał wyperswadować małemu awanturnikowi chęć zgłębiania na przyszłość „oceanu”.

Po oczyszczeniu budynku własnoręcznie przez ochotniczki-nauczycielki i uczni-junaków, po umeblowaniu w sprzęt szkolny klas, skończył się dla naszych „małoludków” okres przygody a rozpoczęła się praca poważna, praca

szkolna. Wprowadzony do „prawdziwej” już teraz klasy junak zobaczył przed sobą nauczycielkę-ochotniczkę. Jeden mundur krył serce junaka i serce ochotniczki-nauczycielki. Oczy kobiety w mundurze spotkały z głębokim wzruszeniem wbite w siebie z żywą ciekawością oczy dzieci w miniaturowym mundurze żołnierza. Przez kilka chwil nauczycielka nie mogła wymówić ani słowa... Umysłowiła sobie żywo, że ma przed sobą kilkudziesięciu chłopców polskich pozbawionych domu rodzinnego, czulej opieki matki może dziś już nie żyjącej, — ojca, który przepadł gdzieś w bezmiarach Rosji, lub dziś z bronią w ręku wykuwa gościniec do Polski. Nauczycielkę ogarnął strach: „Czy podołam zadaniu, które wzięłam na siebie?”

Dziś praca nauczycielki łączy się z pracą matki, trudno odgraniczyć od siebie te dwa obowiązki. W czasie lekcji geografii np. mówisz o Polesiu, a mały obywatel w wojskowym mundurze zaczyna płakać. „Czemu?” — „Proszę pani, bo mi żal, że moja mamusia już nie zobaczy Polesia. Umarła z gorączki w tundrze.” Czy można dalej prowadzić lekcję według nakreślonego programu? Albo w klasie w czasie lekcji języka polskiego czyta junak o Julce, co ją z chaty Sikorowej na „pluchę” wygnano — wiadomo sierota. A tu Józek jedenastoletni ma pełne oczy łez. Z jakiego powodu? „Ja też, proszę pani, nie mam rodziców, umarli w Rosji.” — Tak to z nauką przeplata się różaniec cierpień dzieci, których serca i dusze z pełną świadomością odpowiedzialności wobec Polski kształtuje, urabia, rzeźbi ochotniczka-nauczycielka. Nagrodą w pracy jest stopniowy rozwój umysłu dzieci.

W naszych warunkach koniecznie trzeba ustawicznie dzieciom wpajać, że przygotowują się do ważnej pracy. Każde zadanie rachunkowe obliczają z myślą, że jest ono przygotowaniem do pracy w Polsce: „Gdy będziesz pracował w fabryce w Polsce...” „Gdy będziesz kupcem w Polsce...” „Gdy będziesz orał polską ziemię...” „Gdy zostaniesz inżynierem, będziesz wymierzał głębokość kopalni w Polsce, będziesz pracował nad konstrukcją samolotów w Polsce...” — Ten refren w rozmaitych odmianach powtarza się w klasach przy każdej sposobności. I nauczycielka-ochotniczka i uczeń-junak żyją, pracują dla przyszłości, przygotowują się do radosnej pracy w wolnym kraju.

Młody, podatny materiał duchowy dziecka-junaka przyszłego obywatela Polski urabia doświadczona, kochająca i świadoma celu swej pracy ochotniczka-nauczycielka. Bez przerwy maluje ona dzieciom obraz utraconej Ojczyzny. Na tle tutejszej egzotycznej przyrody wyczarowuje przed oczyma młodocianych słuchaczy piękno polskiego krajobrazu, koloryt nie zapomniany polskiego nieba, barwę polskich kwiatów, zapach kwitnących „bazi”, bżów, miodnych lip polskich gór ustrojonych lasami, halami, turniami, rzeźbionych bystrzycami, srebrnymi falami polskich potoków, strumieni, rzek.

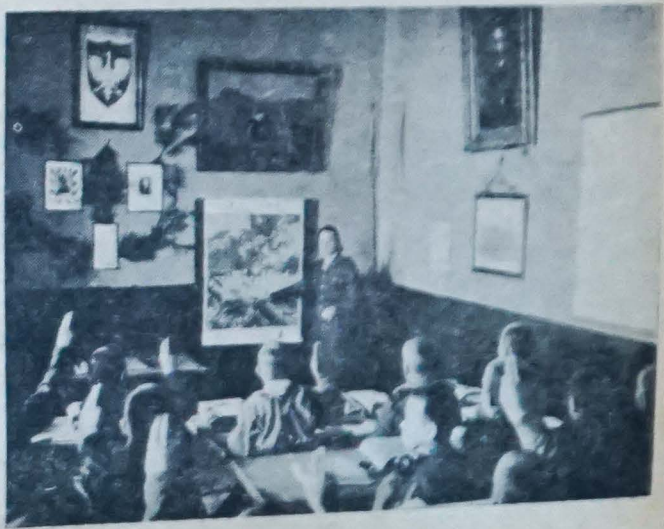
Przelatujące nad szkołą bociany, które skierowały swój lot w stronę północno-zachodnią, wywołały spontaniczne okrzyki ze strony dzieci: „Do Polski lećcie boćki, jakie wy szczęśliwie!” Na lekcji rysunków domagają się potem: „Proszę pani, my narysujemy — jak to bociany lecą do Polski!” „A skąd one wiedziały, że tu w N... są polskie



dzieci?” „One pewnie chciały, żebyśmy przez nie posłali list do Polski, do swoich posłali!” Jedna partia bocianów skierowała się wybitnie na zachód — do Rosji. „Wstrętne bociany, po co tam lecą?” — wyraża jeden z małych swe uczucia pozostałe w jego sercu po pobycie w kraju, co cie-



niem niezatartym przesłonił ich dzieciństwo. „Nie wiesz to, że tam są jeszcze nasi? One do nich lecą” — z przekonaniem zapewnia kolegę drugi liliput-filozof. I serdeczny okrzyk: „Pozdrówcie naszych!” — unosi się w ślad za odlatującymi bocianami.



Śpiewają najchętniej żołnierskie piosenki — junacy wiadomo, najmłodszy żołnierz Naczelnego Wodza, który w czasie odwiedzin w szkole na rękach ich nosił i do serca serdecznie tulił. Żołnierzyki wiernie, szczerze, ufnie wierzące, że dojdą do Polski za Wodzem ze swoją nauczycielką-ochotniczką, która ich tu na cudzej ziemi w marszu przy dźwiękach pieśni o pułkowniku Lisie-Kuli zaprawia. W gimnastycznych kostiumach kroczą uparcie po gorącym gruncie obcego kraju, junacy-dzieci za ochotniczką-nauczycielką, która ćwiczeniami gimnastycznymi stopniowo rozwija wiotkie, dziecięce mięśnie w stal muskułów przyszłych żołnierzy polskich.

Od wczesnego ranka zapełniają się klasy małymi uczniami. Dzwonek, jak w Polsce — rozpoczyna lekcje. Chłopcy, jak w Polsce mają zeszyty (z napisami na okładce w cudzym, nieznanym języku), jak w Polsce mają podręczniki w języku polskim (niestety nie w Polsce drukowane), jak w Polsce piszą na czarnej tablicy białą kredą, że: $1 \text{ dm}^2 = 100 \text{ cm}^2$, jak w Polsce nad nimi na ścianie krzyż i Orzeł Biały — przed nimi ta sama, co w Polsce, a przecież inna nauczycielka, nauczycielka - ochotniczka, nauczycielka - żołnierz. Musi ona dziecku zastąpić matkę, siostrę, musi stwarzać i stwarza ciepłą i serdeczną atmosferę domową wokół siebie. Ufnie zwrócone ku niej oczy dzieci napędlają jej serce i umysł przeświadczeniem, że znoją drogę swej pracy



zawodowej połączyć umiała z kobiecą troskliwością, osłaniającą chociaż częściowo sierocą, tułaczą dolę dzieci-junaków.
Amalia Falkiewiczowa

Listy do Redakcji

DO KOLEŻANEK

Pojechaliście, drogie Koleżanki, i został jakiś dziwny niepokój, smutek, pustka. Nic dziwnego — byliśmy razem poprzez Rosję, Iran, Irak, a tu w Palestynie drogi nasze rozeszły się.

Pisujemy do siebie i kontakt jest utrzymany, ale to nie chodzi o tę jedną przyjaciółkę — tu chodzi o całość, chcielibyśmy być blisko Was, chociaż jesteśmy daleko. Może „Ochotniczka” nasza będzie tym łącznikiem między nami.

Zostałyśmy tutaj z takich, czy innych względów i nie cieszą nas nasze wygody, jeżeli wiemy, że Wy macie ciężkie warunki, które z każdym etapem będą trudniejsze. Każda z nas zniósłaby je chętnie, byle być razem z Wami, byle prędzej do naszej ukochanej ziemi.

Nie wolno nam jednak się poddawać depresjom, musimy wytrwać, bo czekają na nas.

Każdej z nas ktoś ubył, ktoś tak bliski jak siostra, najukochańsza matka, córka. Żyliśmy się ze sobą, silniejsze opiekują się słabszymi, starsze młodszymi. Często słyszy się takie powiedzenie: „To moja córka więzienna”; „To moja matka wojkowa”. Nie są to tylko ciche powiedzenia, są to głębokie uczucia, powstałe w czasie naszej tułaczki. Przeżywamy 5 rok wojny, — lata, które liczą się kilkakrotnie

nie i lata te spędzone razem w dobrym i złym — zrobiły swoje.

Zdajemy sobie sprawę, że niejedna z nas wróci do Kraju i prócz tej czy innej wybranej z naszego grona, już nikogo więcej nie będzie miała. O tym nie wolno nam zapominać, już dziś muszą one wiedzieć, że mogą liczyć na nas, że nie będą samotne, że będą miały ognisko domowe. Nie po to przeżyłyśmy tyle razem, by potem kiedyś rozejść się każda w swoją stronę.

Krytykujemy się nawzajem, i to dość często, czynimy to jednak nieszkodliwie, jak członkowie rodziny, ale nie daj Boże, by ktoś od zewnątrz, „jakiś cywil”, odważył się coś o jednej z nas powiedzieć. Ciężkie chwile nas jeszcze czekają, i tylko wzajemna życzliwość i serdeczność może nam pomóc w przetrwaniu. Nie

wolno nam patrzeć z obojętnością na to, by koleżanka czuła się osamotniona w naszym gronie. Musimy do tego doprowadzić, by koleżanki zwracały się do siebie z pełnym zaufaniem, by pomagały sobie nawzajem: czy to radą, czy czynem, czy dobrym słowem, ale musimy sobie na to zaufanie zasłużyć i pamiętać, że nie ma sytuacji bez wyjścia.

Spotkałam się z powiedzeniem Angielek, że brak im słów podziwu dla nas, dla naszych silnych charakterów. Jesteśmy obserwowane i to często krytycznym wzrokiem, a jednak nie nam nie mogą zarzucić, a przeciwnie: podziwiają hart naszego ducha.

Trzymamy się i podtrzymujemy się, by dość do Kraju w dobrej formie, bo tam czekają nasze Siostry, którym musimy stworzyć warunki, by mogły jak najszybciej zapomnieć o swoich straszliwych przeżyciach.

J. M.

Kronika

NASZE KOLEŻANKI WE WŁOSZECH

Dochodzą do nas wiadomości o pięknej pracy ochotniczek P.S.K. we Włoszech. Kantyniarki pracują bez wytechnienia i zjednały sobie żołnierzy swoją akuracnością w dowożeniu tych artykułów, które są najbardziej potrzebne w

polu. Kierowniczy, jak nam mówiono, jeżdżą wzorowo i pewnie. Można im całkowicie zaufać. Tak samo dzielnie spisuje się nasza łączność, na swoich odpowiedzialnych placówkach. Nasze siostry w szpitalach i obsada szpitalna P.S.K. pracuje ofiarnie. Niemniej zasługują na uznanie pracownicy biurowe. Z praw-

dziwą satysfakcją należy stwierdzić, że Pomocnicza Służba Kobiet zdaje dobrze egzamin, gdziekolwiek wyznaczono jej miejsce.

W następnych numerach „Ochotniczek” zamieścimy reporiaże z pracy P.S.K. we Włoszech, w których obszerniej damy sprawę z działalności naszych koleżanek.

PLUTON RADIOWY P. S. K. NA ZIEMI WŁOSKIEJ

Przyjechały obładowane workami, chlebami i małutkimi walizkami, w których wożą kable, baterie, aparaty, z Ziemi Świętej. Stały w szeregu i odliczyły. Komendantka zameldowała: „Panie kapitanie, pluton radiowy P.S.K. melduje się na ziemi włoskiej”.

Zabrały się natychmiast do pracy. Dostały najnowsze radiostacje. Przeszły uprzednio gruntowne wykształcenie. Są to wszystkie dziewczyny młode i ładne. Prawie wszystkie otrzymały w Palestynie „duże” lub „małe” matury. Teraz wstają o 6.30, pracują ciężko, nieraz i w nocy, ale są szczęśliwe. Wiedzą, że to co robią w tej chwili, jest już pracą bezpośrednio dla potrzeb frontu.

Starają się osiągnąć jak największe tempo. Wiele z nich ma wspaniałe wyniki. Ale oprócz pracy na radiostacjach i „fullerfonach” zajmują się i dalszą nauką. Przygotowują się do pracy w polu, gdzie nie będzie budynków. Wyjeżdżają samochodami, zaopatrzone w radiostacje i przyczepkę z agregatem. Uczą się pilnie szyfrowania i odszyfrowywania, aby i w tym wyręczyć mężczyzn.

Jedno tylko było nieprzyjemne zdarzenie we Włoszech: Polki gorszyły świętych mieszkańców miasteczka. Bo pomyśleć — chodzą w spodniach!

W wojsku włoskim — panny, owszem, mogły służyć w szpitalach jako siostry, ale żeby samochodami się rozbiegać i chodzić w spodniach — to naprawdę nie wypada!

Niechęć mieszkańców włoskiego miasteczka do polskich dziewcząt trwała tylko kilka dni, bo w niedzielę panienki ubrały spódnice i zjawily się w kościele — to znaczy wszystko w porządku. Spodnie i samochody nie są wcale dziełem przewrotnego szatana. Kiedy później okazało się, że hambiniatka włoskie dostają często od „siniorin” słodycze, pierwowtna niechęć zanych mieszkańców miasteczka zamieniła się po prostu w żywiołową sympatię. I właśnie niby nie, a jednak mała rewolucja niepostrzeżenie przeszła przez miasteczko. Zmienił się, mianowicie, punkt widzenia czcigodnej starszyny miasteczka na rolę i znaczenie kobiety w życiu społecznym. Tej opinii dał wyraz przewielebny „paroco” Giovanni w wygłoszonym ostatnio niedzielnym kazaniu.

OBCHÓD DWULECIA S. M. O.

Dn. 20. V. b.r. Szkoła Młodszych Ochotniczek P. S. K. obchodziła drugą rocznicę swego istnienia. Powołana do życia rozkazem D-ey Armii P. W. tworzyła się w ciężkich warunkach w pustyniach Azji, dziś otoczona opieką wojska, troską serdeczną Deleg. Min. W. R. i Op. i Deleg. MOŚ. służy młodzieży polskiej, jest jedną z najważniejszych placówek pracy P.S.K.

Uroczystość rozpoczęła raportem złożonym plk. O. przez kłk. S. Po serdecznym przemówieniu plk. O., który podniósł doniosłość nauki i urabiania charakterów fizycznego i moralnego, nastąpiła defilada, a potem nabożeństwo w kościele św. Józefa i odsłonięcie przez p. radcę Marlewskiego tablicy pamiątkowej z następującym napisem: „Zwróć Ojczyźnie wolność i nam wolność do Niej powrócić pozwól”.

Teraz nastąpiło zwiedzanie miejsca zakwaterowania. Goście oprowadzani byli przez młodzież i nauczycieli. Mieli możliwość obejrzenia pokojów sypialnych, sal wykładowych, pracowni biologicznej, gabinetu fizycznego itd. Obiad żołnierski zgromadził wszystkich w dużej sali jadalnej — potem odbyły się zabawy w świetlicach — każda wystąpiła z innym programem, tu były tańce regionalne, tam śpiew i gry towarzyskie, a u harcerek — kominek. Tradycyjne ognisko zastąpiono tym razem poważnym „Wieczorem Mickiewiczowskim”. Impreza bardzo udana, stojąca na wysokim poziomie — odegrana przez dziewczęta z wielkim zrozumieniem i odczuciem Wieszczki. Należą się wyrazy uznania organizatorom i wykonawczym. (Szczegółowe sprawozdanie o całej uroczystości zamieścimy w numerze następnym).

POLKI AMERYKANKI W SZEREGACH P.S.W.K.

W jednym z obozów ćwiczebnych w Szkocji został w marcu b.r. zakończony dziewiąty kurs rekrutki dla ochotniczek. Wśród grona dziewcząt, przybyłych ze wszystkich stron świata, znajduje się czternaście ochotniczek z Ameryki Północnej. Szesć z nich pochodzi ze Stanów Zjednoczonych, osiem zaś — to Kanadyjki. Komendantka zaoceanicznego plutonu jest panna Halina E. z Detroit, obywatelka Stanów Zjednoczonych. Jest ona jedną z pierwszych współpracowniczek polskiej misji wojskowej w Kanadzie.

Dwudziestą sekretarzem jest panna Halina Sikorska, polska, która w Ameryce. Panna Halina pochodzi ze szwajcarskiej rodziny, jej matka osiedliła się w Ameryce, jako prymas, kura dla kanadyjskiego kurpasa ludowego.

W plutonie tym znajdują się również dwie siostry: Zofia i Maria P. z Detroit, której rodzinie pochodzi z Elsdorfu, i jeszcze dwie kanadyjskie ochotniczki: Wiktoria C. z Penzylwanii, której rodzinie przybyli do Ameryki z okolic Warszawy, a obecnie uprawiają farmę, oraz Helena P. z Detroit. Ojciec jej jest lwowianinem, matka — warszawianką.

Pozostają osiemnaście dziewcząt — Kanadyjki, z których siedemnastoletnia Maria P. była początkującą malarzką i kształciła się w Montrealu. Jest ona jedyną obywatelką polską spośród wszystkich dziewcząt przybyłych zza Atlantyku.

Wśród pozostałych, cztery pochodzą z miast lub prowincji Ontario. Są to: Maria Z. z Windsoru, której rodzina pochodzi ze Lwowa, Genowefa L. Elconora R. i Jadwiga E., której rodzina również są rodem ze Lwowa.

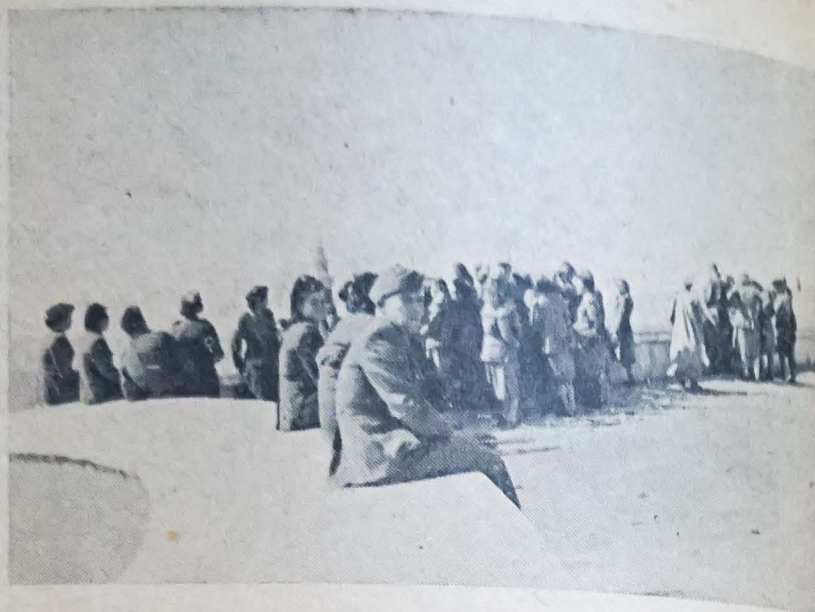
Alieja D. urodzona w Polsce, w Krasniku, ale obywatelką kanadyjską zamieszkała ostatnio w Alberta, ma w Wielkiej Brytanii ojca, odbywającego służbę żołnierską w oddziałach kanadyjskich, tutaj stacjonowanych; wreszcie Jadwiga N. z Winnipeg, obywatelka kanadyjska, aczkolwiek urodziła się w „starym kraju”, w Sienawie, pow. Jarosław.

Czternaście wymienionych ochotniczek, to jakby awangarda w obozie P.S.W.K. obu wielkich i potężnych krajów Ameryki Północnej. Pierwszy to był zastęp zaoceanicznych ochotniczek P.S.K. i daj Boże, żeby mógł się stać pomyslnym zapoczątkowaniem dalszych, coraz częstszych i liczniejszych.

Po zakończeniu kursu rekrutkiego i po zasłużonym urlopie — ochotniczki stanęły przy pracy: w lotnictwie, w szpitalach, przy radio i przy kierowni samochodów wojskowych.

W kwietniu przybył drugi transport ochotniczek P.S.W.K. z Ameryki Północnej, który umieszczono w obozie przeszkoleniowym P.S.W.K. w Szkocji, oczekując na uruchomienie następnego kursu rekrutkiego. Większa część przybyłych pochodzi z miasta Milwaukee, reszta zaś z Detroit. Ponadto jedna z ochotniczek, w odróżnieniu od innych, urodzonych na ziemi amerykańskiej, jest obywatelką polską, przed wojną zamieszkałą w Gdyni. Przybyła ona do W. Brytanii drogą okólną przez Stany Zjednoczone i Kanadę.

Kurs Komendantek i Podoficerski P.S.K.



Dwa kursy: III Komendantek i II Podoficerski wyszkolił nowy zastęp ochotniczek. Przy dużym wkładzie pracy zarówno wykładowców, jak „kursantek”, osiągnięto bardzo dobre rezultaty. Miły, koleżeński nastrój nie zdołały popsuć ani hamsiny, ani burze piaskowe, a plk. R. ani na moment nie tracił pogody ducha, twierdząc, że „ochotniczki to świetne wojsko”. Przekonał się zresztą na własne oczy, że kobiety dobrze osiągają wyniki w strzelaniu, że mają ambicję pracy, uczenia się, nabywania wiadomości.

T R E Ś Ć N U M E R U

- | | | | |
|------------------------------------|--------------------------|---|------------------------|
| 1. O polskim żołnierzu | Kazimiera Illakowiczówna | 13. Czyn Ludu Śląskiego | Mieczysław Chmielewski |
| 2. Lwie serca | H. N. | 14. Kobieta śląska | |
| 3. Blask 3 Maja | | w powstaniu | Barborka ze Śląska |
| 4. Problem Piłsudskiego | Jan Szuldrzyński | 15. „Barbórka” | Stanisław Ligoń |
| 5. Wilno, miłe miasto | w/g Juliusza Kłosa | 16. Kult Matki Boskiej w | |
| 6. „Cudem na Ojczyzny | | Polsce | Tadeusz Birecki |
| łono” | Zygmunt Nowakowski | 17. Wiersz o matce | Czesław Dobek |
| 7. Ojczyzno moja, ziemio | | 18. Chrystus — Młodzieniec | Zofia Kossak-Szczucka |
| cicha... | Ryszard Pobóg | 19. Dolina Królowych | Beata Obertyńska |
| 8. Kresowa straż | Or—Ot | 20. Odezwa Min. Obr. Nar. | |
| 9. Lwów — serce gorejące | | do kobiet polskich | |
| Polski | w/g Stanisława | 21. Dwulecie Szkoły Młodszych | |
| | Wasylewskiego | Ochotniczek | Bronisława Wysłouchowa |
| 10. Chodzimy po Lwowie | B. W. | 22. Z najmłodszymi | Amelia Falkiewiczowa |
| 11. Piękno w prostocie | Lwowianki | 23. Listy do Redakcji | |
| 12. Pozostań przy mnie | Wiktor Budzyński | 24. Kronika | |